Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. Cena 10 zł

WIEŚ

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok IV | Łódź, 24 sierpnia 1947 r. | Nr 33 (112)

Stanisław Śreniowski

Historiografia polska a dzieje chłopów

Dzieje chłopów i historia wsi. Czy są to dwie pary synonimów: dzieje i historia, chłopi i wieś? Historyk powinien temu zaprzeczyć jak najbardziej stanowczo.

O zmianach struktury społecznej na wsi nie trzeba przypominać, w końcowych swoich fazach dzieją się one na naszych oczach, wieś chłopska wyrugowała już dwór, współżyje jeszcze z parafią. **Wieś pańska przestała istnieć.** Jako jednostka ustrojowa już od uwłaszczenia, jako zespół ulegający działaniu sił gospodarczych i jako środowisko obserwowane przez socjologa — o wiele później, poprzez wszystkie reformy rolne, do ostatniej najradykalniejszej.

Wieś i chłopi — **to synonimy społeczne tylko na pewnym etapie rozwoju dziejowego.** Jeżeli dotąd byliśmy świadkami wyzwalania się socjalnego wsi chłopskiej, to w perspektywie rysuje się proces włączanie się wsi we współczesną rozwiniętą technikę przemysłową, co może znowu ogromnie zmienić oblicze wsi i charakter jej mieszkańców.

Dzieje i historia. Może nigdzie silniej nie ujawniają się różnice obu tych pojęć jak w sprawie chłopów. Dzieje chłopów to to wszystko, co działo się z nimi w przeszłości, to przebieg ich losów, to ich całe minione życie, oczywiście życie społeczne, to dzieje w a r s t w y chłopskiej, a skoro warstwy — w takim razie w jakimś systemie ustrojowym, obok innych warstw, w jakimś zestosunkowaniu do nich, w konfliktach socjalnych z nimi.

Czy takie dzieje chłopów były przedmiotem historiografii naszej?

Historia wsi posiada w dziejopisarstwie naszym o wiele pokaźniejsze miejsce niż się to wydaje. Jeżeli historia państwa polskiego jest historią państwa przede wszystkim szlacheckiego, a historia szlachty — głównie historią dworów na wsi i pańskich kompleksów majątkowych wiejskich — to historia ta stanowi właściwie i jedną z form historii wsi w Polsce. Ale historia ta nie respektuje dziejów chłopskich, nie ku nim naprzeciw wychodzi, a przeciwnie — ignoruje je, przeprowadza poprzez przeszłość cięcie zupełnie inne, korzysta z punktu obserwacyjnego od strony dworów właśnie, a nie wsi chłopskiej, a to sprawa zarówno materiału historycznego, jak i ideologiczna.

Mówi się, że niektóre narody (ludy) nie mają historii, mistycy uważają, że narody nieszczęśliwe, ewolucjoniści — że społeczeństwa na prymitywnym stopniu rozwoju. Idzie tu ponoć o brak samowiedzy historycznej, a może przede wszystkim o brak wyraźnej czy pełnej samowiedzy politycznej. Należałoby uzupełnić tamto spostrzeżenie w odniesieniu do warstw społecznych: **niektóre warstwy społeczne nie posiadają historii;** moraliści powiedzieliby, że warstwy nieszczęśliwe, historyk powie raczej, że warstwy nie posiadające jeszcze samowiedzy społeczno-politycznej. W konkretnym systemie, w określonym ustroju jest to cecha tej warstwy, która podporządkowana została innej i pozbawiona samodzielności społecznej. Podporządkowana gospodarczo, prawnie i kulturalnie. Taka była właśnie pozycja chłopów w ustroju feudalnym.

Dzieje dzieją się i mijają. Zadaniem historii jest uchwycić je i wyrazić. Historia to przedstawienie dziejów, to o b r a z przeszłości — a zatem konstrukcja z informacji dotyczących przeszłości, **konstrukcja, w której organizacyjną rolę musi odgrywać jakaś koncepcja, jakieś założenie, jakaś myśl przewodnia, jakaś postawa wobec spraw i zdarzeń.**

Historia jest i musi być zawsze polityczną, chociażby pozowała na najbardziej beznamiętną i prawdziwą. Stosunek do materiałów źródłowych może być u historyka najrzetelniejszy, ale to nie wyłącza wpływów zasadniczej, ideologicznej postawy historyka wobec spraw, o których ma mówić. Obraz dziejów jest przedłużeniem obrazu współczesności; historia stanowi dyscyplinę humanistyczną i nie jest do pomyślenia w oderwaniu od doświadczeń tych, którzy się nią zajmują. Jeżeli nie trzeba już dzisiaj dowodzić, że obraz współczesności jest i musi być polityczny, że widzi się rzeczywistość społeczną z określonych pozycyj społecznych i ideologicznych, to to samo musi się odnosić i do obrazu przeszłości, do historii. Czyjś pogląd na pewien fakt współczesny może wydać się niezwiązany z jego postawą polityczną, ale spojrzeć głębiej, przemyśleć dalsze konsekwencje społeczne tego poglądu, a wówczas z reguły ujawni się związek z podstawowymi założeniami życiowymi, z pozycją, warunkami i perspektywami społecznymi tego, który ów pozornie bezstronny pogląd reprezentuje, względnie grupy do której społecznie należy. Poglądy historyczne — najbardziej obiektywne w sensie zgodności z materiałami źródłowymi — są i muszą być w tym samym stopniu polityczne, ponieważ obraz życia społecznego jest tak samo silnie uwarunkowany postawą społeczną obserwatora, czy dotyczy on współczesności czy przeszłości.

Jakże mocno występuje to zjawisko w historii chłopów!

Można mówić o roli społecznej historii chłopów, tj. o roli społecznej obrazu przeszłości chłopskiej, jaki daje historiografia. Historia chłopów zawsze służyła wyraźnym celom społeczno-politycznym, historia chłopów określała najplastyczniej obóz ideologiczny, z którego wyszła.

Dzieje historii chłopów — w tej płaszczyźnie obserwacyjnej — zacząć by należało od epoki, w której chłopi historii nie posiadali jeszcze, kiedy o przeszłości chłopów nie pisało się jeszcze, kiedy stanowili oni tylko **przedmiot zainteresowania** ze względu na **aktualne** zabiegi, kiedy widziało się ich tylko w zespole innych czynników życia gospodarczego. Nb. był to okres gospodarki pańszczyźnianej, wielkiej własności ziemskiej i jej wszechstronnej supremacji.

Dzieje chłopów toczyły się nieprzerwanie, historii chłopów nie było wcale, historii chłopi nie posiadali i ta **nienapisana historia chłopów** spełniała pierwszą wielką rolę społeczną, służyła ustrojowi szlacheckiemu, przemilczała istnienie tych ogromnych dołów społecznych, warunkujących gospodarczą egzystencję dworów i dworków, umacniała ówczesną strukturę, ubezpieczała ją przez pogrążanie w niepamięć klasy wydziedziczonych, utrzymywała chłopów w roli niekształtnej, bezimiennej masy, nie mającej innego przydziału społecznego poza dokładnie określoną funkcją w aparacie produkcyjnym wielkiej własności.

W „żywocie człowieka poczciwego" słodycze wszystkich pór roku szlacheckiego wynikały z urządzeń boskich, mechanizmu przyrody i „dowcipu" szlacheckiego — **masa chłopska została szczelnie odgrodzona od barwnej sceny życia szlacheckiego,** a marionetkowe postacie sielankowych chłopów wprowadzano na nią jedynie ku uciesze pańskiej publiki i dekoracji.

Państwo było dla „obywateli", Rzeczpospolita była rzeczą pospolitą szlachecką, istniała historia państwa i historia szlachecka, któżby się mógł domyśleć z tekstu tych opowieści, że poza kilkuset dworkami, w których agitowały się sprawy Rzeczypospolitej, było jeszcze coś... kilka milionów ludzi.

W nienapisaną historię chłopów w Polsce uderzyły jednakże wypadki polityczne. Rozbiory, cały okres upadania państwa, nie wstrząsnął nią zbytnio; upadało państwo szlacheckie. Dyskusja nad naprawą Rzeczypospolitej, spóźnione próby reform, deklaracje Sejmu Wielkiego i rządu Insurekcji — to wszystko, jakkolwiek postępowe — nie tylko działo się w ramach niezmienionego ustroju społecznego, ale też dla obrony tego właśnie ustroju! Historia chłopów nie mogła być napisana i nadal.

Niewiele mógł pomóc chłopom i romantyczny „ludowy", literacki powiew z emigracji zachodniej między powstaniami, powiew przenikający historiografię szkoły lelewelowskiej, podobnie jak ludowość poezji romantyków w kraju spełniała raczej rolę uroczej przesłony wobec rzeczywistego problemu społecznego tego czasu.

Nienapisana historia chłopów spełniała nadal swoją poważną funkcję szlachecką przez całą jeszcze połowę XIX w., póki sprawa nie pękła od strony pierwszych gruntownych przemian społecznych, względnie nieuchronnego ich zbliżania się w postaci uwłaszczenia. Uwłaszczenie w Prusiech i w Galicji, nastroje przeduwłaszczeniowe w Cesarstwie Rosyjskim, dyskusja nad sprawą chłopską w Królestwie Polskim — i ostatnia próba znowu spóźnionej obrony przed „rewolucją": idea oczynszowania chłopów. W tych latach kryzysu społecznego ogłoszony został w Bibliotece Warszawskiej symptomatyczny szkic pióra Tadeusza **Lubomirskiego** o ludności rolniczej w Polsce!

Historia chłopów dochodziła do głosu. Ale czy istotnie historia chłopów? Pisana z punktu widzenia oczywiście szlacheckiego, była odpowiedzią na reformy uwłaszczeniowe przeprowadzone już we wszystkich państwach rozbiorowych i — stanowiąc wyraz postępowej myśli szlacheckiej, była odpowiedzią na uwłaszczenie zdecydowanie **negatywną.** Reformy — owszem, ale tylko pod postacią dzierżaw chłopskich — na pańskim! i czynszu chłopskiego — dla dworu!

Uwłaszczenie chłopów w Królestwie — idea powstania 1863 r. i ukaz carski 1864 roku stworzyły warunki dla nowej historii chłopów i taką nową historię chłopów — syntezę przed monografiami — przyniosło w 1874 r. dzieło **W. A. Maciejowskiego,** uwieńczone nagrodą Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Maciejowski stał już na gruncie dokonanych reform.

Następne półwiecze opromienione zostało w historiografii ogromną wręcz ilością prac monograficznych, w tym pewna, drobna zresztą w całości część ich potrącała i o zagadnienia chłopskie. Punkt widzenia, punkt wyjścia w tych pracach?

Redaktorowie „Kwartalnika Historycznego" tak oceniają tę sprawę z perspektywy 1946 r.: „W badaniach dawniejszych w dużej mierze (?!) zajmowano się położeniem chłopa w Polsce w różnych okresach dziejów, ale w ramach badań nad stosunkami gospodarczymi w ogóle — dziś w wyższym stopniu niż dawniej interesuje chłop jako podmiot dziejów".

„W ramach badań nad stosunkami gospodarczymi w ogóle" — przetłumaczmy to na język struktury społecznej. **Zajmowano się chłopem od strony organizacji wielkiej własności ziemskiej,** majątków pańskich i ich gospodarki.

Rzućmy jeszcze okiem na kilka późniejszych syntez historii chłopów w Polsce. W syntezach zasadnicza postawa ideologiczna musi być wyrazistsza niż w studiach drobniejszych: syntezy te znaczą drogę jak historiografia nasza sekundowała przemianom społecznym, zbliżającym się i dokonanym już.

W r. 1910 ogłosił u Gebethnera i Wolffa część pierwszą „Historii włościan w Polsce" **Antoni Marylski-Łuszczewski.** W toku wykładu jawnie deklarował swe poglądy. Uważał, że **„naturalną jest rzeczą, że klasa rolnicza (scil. chłopi) zajmują pośledniejsze miejsce w hierarchii społecznej",** wyznawał ideę podniesienia chłopów i uobywatelnienia w sensie jakby uszlachcenia, sugerował, że chłopi przejmują całe dziedzictwo narodowe, choć wytworzone nie przez nich, bo szlachta — według niego — była przecież z nich, z chłopów.

Polityczne perspektywy tych pseudo-postępowych poglądów wystąpiły w całej jaskrawości w drobnej broszurce, wydanej przez Marylskiego w osiem lat później, w czasie wojny, w 1918 r. Formuła cenzury władz okupacyjnych: „Geprüft und freigegeben durch Kais. Deutsche Presseverwal. Warschau" datowana jest 11 września roku 1918. Dokładnie w dwa miesiące później zaczęła swój byt nowa Rzeczpospolita Polska — według konstytucji już nie szlachecka, a mająca wkrótce zamanifestować kierunek zamierzonego rozwoju społecznego treścią ustawy o reformie rolnej.

Broszurka Marylskiego składa się z dwu części. Pierwsza zaopatrzona wymownym tytułem: „Nauka i sztuka wywłaszczania" stanowi jedną z najwcześniejszych „odpowiedzi" wielkiej własności w Polsce na rewolucję bolszewicką i niebezpieczeństwo przewrotu społecznego także i u nas. Marylski uderza odrazu w najwyższy ton: **idealizmu i pariotyzmu:** „Ci którzy w imię i dla dobra Ojczyzny ponoszą ofiary czy na polu bitew czy też w znojnej i pełnej zaparcia się pracy poza frontem bojowym, snują sny złote o przyszłej potędze, sławie i szczęściu swej ziemi rodzinnej" — i natychmiast **zasadnicza dyskwalifikacja moralna przeciwnika:** „Inni znów, zapatrzeni w swój interes osobisty, myślą wyłącznie o korzyściach, jakie będą mogli osiągnąć przy spodziewanych i upragnionych przez nich wstrząśnieniach społecznych".

Nie łudźmy się, to nie oderwane dywagacje etyczne. Idzie o sprawę ustroju rolnego w Polsce. Zagadnienie rolne ma w naszym kraju — snuje myśl swoją Marylski — „znaczenie ogólnonarodowe, lecz powiedzmy sobie otwarcie, nie inne pobudki je wysunęły, nadały mu drażliwy charakter, jak zwykła poziomа pożądliwość, czyli te same czynniki natury ludzkiej, które dały początek bolszewizmowi rosyjskiemu". Ale Marylski jest optymistą: „Miejmy nadzieję — pisze on — że większość ludzkości okaże zgoła odmienne jak społeczeństwo rosyjskie oblicze, oblicze wyszlachetnione wielkimi cierpieniami i próbami wojny wszechświatowej". Nie tylko zresztą na tym wyszlachetnieniu cierpiętniczym buduje swoje nadzieje Marylski. „Jednostki czy też grupy narodów w kulturze zachodniej, do której i nasz naród się zalicza — pisze on — wskutek wszczepionych zasad uczciwości, poczucia ładu i poszanowania cudzej własności są krępowane przy występowaniu z swoimi pożądliwościami, z żądaniem cudzego mienia." A więc odwołanie się do kultury zachodniej — pamiętamy, że idzie o wywłaszczenie wielkiej własności.

Wreszcie sugestia ekonomiczna — widocznie dla tych, którzy nie wyszlachetnieni i niekulturalni, a tylko poziomie pożądliwi, mogliby pozostać głusi na argumentację idealistyczną: „Interes włościanina — upewnia Marylski — łączy się z interesami każdego wogóle posiadacza ziemi, mianowicie z dążeniem osiągnięcia jaknajwiększej ilości zbiorów i najlepszego spieniężenia takowych. Większy czy mniejszy rolnik podobnymi sposobami i w jednym celu pracuje na swoim zagonie, a większe gospodarstwo, rozporządzające większym zasobem wiedzy i większymi środkami, dochodzi prędzej do doskonałości i stanowi wzór dla drobnego rolnika".

A zatem **idea solidaryzmu społecznego i rola wielkiej własności w życiu chłopów i**

gospodarstwa narodowego. **„Rola dworu polskiego** — formułował esencjonalnie Marylski — **nie skończyła się na wsi i spełniać on musi w dalszym ciągu swoje posłannictwo dziejowe".** Tak pisało się w 1918 r.!

Dwór polski reagował na niebezpieczeństwo reformy rolnej kaznodziejstwem: „Wszystkie kombinacje rozstrzygania sprawy agrarnej zapomocą wywłaszczenia są nierealne; rozpętywanie burzy społecznej w chwili, gdy cały naród stać winien ramię przy ramieniu, dla osiągnięcia lepszej przyszłości, jest to występkiem wobec ojczyzny. Bo nawet gdyby świat cały objęty był ogniem rewolucji, my Polacy jeżeli chcemy tworzyć jeszcze państwo, winniśmy jedność zachować i iść w zwartym szeregu". To apel do polskości.

„Od naszego socjalizmu powiało duchem tzw. równości, która jednak wyklucza wolność, bo kto jest równym majątkowo, umysłowo, moralnie nie może być wolnym w swych zabiegach życiowych, wyróżnieniu się swoimi zdolnościami, pilnością, nauką, umiejętnością tworzenia, oszczędzania, pracowania". To apel do panów i niewolników. **Równość jest wrogiem wolności — wolności tych nb., którzy korzystają z nierówności.**

W drugiej części broszurki przedstawiał Marylski własny „program agrarny", względnie „zamierzenia rolne" — tych, którym groziło wywłaszczenie.

„Ustrój społeczny opierać się winien — oczywiście — na niewzruszalnym prawie własności osobistej. **Z programu agrarnego wyklucza się zasadę wywłaszczenia".** „Prawieczny stosunek mas włościańskich i ziemiańskich do ziemi wytworzył uczucie przywiązania do niej, a to jako czynnik wielkiego znaczenia moralnego i kulturalnego budzi wyższego gatunku pierwiastki duchowe, które biorą górę nad poziomymi instynktami, spekulacji i groszorubstwa." I gorący okrzyk: „Wszak przywiązanie do ziemi pozwoliło nam na Wschodzie utrzymać swoją placówkę i stan posiadania" — poczym pyszne dopowiedzenie rzeczy: „Polską rolę kocha nie tylko ten, który na niej siedzi, ale tęskni do niej cały szczep polski, jako odwieczny naród rolniczy. Pragnienia te nie wyrażają się w formie dążenia do użytkowania ziemi, ale do jej posiadania, gdyż posiadanie jest nierozłącznym przywilejem, nierozłączną częścią mocnego uczucia".

Nie trudno zastąpić to słownictwo psychologiczne — społecznym: „Polską rolę „kocha" nie tylko chłop, który na niej siedzi — ale tęskni do niej jeszcze kto inny — nie w formie dążenia do użytkowania ziemi (to pozostawia się chłopom) ale do p o s i a d a n i a ziemi. **Dwory pańskie muszą mieć przecież bazę materialną, posiadanie zatem stanowi nierozłączną część mocnego uczucia ich mieszkańców.**

W tej sytuacji program agrarny sprowadzał się do postulatów kolonizowania ziem „na obszarach historycznych" Polski oraz uregulowania sprawy wychodźtwa" (?). Kapitalnym rzekomo argumentem przeciwko reformie struktury rolnej miało być to, że i przy zastosowaniu powszechnego wywłaszczenia nie znalazłoby się dosyć ziemi na pełny nadział bezrolnych i małorolnych (Marylskiego interesowały tylko cyfry z Królestwa). **Zachowanie istniejącej struktury społecznej ziem polskich — oto ideał tej warstwy, którą reprezentował autor „Historii włościan w Polsce".**

W latach 20-tych Władysław **Grabski** ogłosił dzieło pt.: „Społeczne gospodarstwo agrarne w Polsce," następnie w przeróbce jako „Historię wsi w Polsce". Jest to w pewnym sensie reprezentacyjna dla Polski z okresu między obu wojnami pozycja, mająca zastąpić historię chłopów w Polsce. To j e s t specyficzna historia chłopów, historia chłopów jako składnika „gospodarstwa agrarnego" czyli ustroju rolnego w Polsce. Na kartach tej książki znajduje Grabski miejsce na obronę walorów wielkiej własności—komponenta obrazu, struktury gospodarczo-społecznej Polski współczesnej.

Zamykam ten przegląd oceną historiografii naszej w odniesieniu do dziejów chłopskich, jaką zawarłem w swoich „Dziejach Chłopów w Polsce" (1947 r.): „O ile u pisarzy staropolskich, stanisławowskich i emigracyjnych oraz pozytywistycznych dźwięczy ton szczerej życzliwości dla sprawy chłopskiej, o ile wszyscy oni walczą o postęp, a przynajmniej sekundują reformom, to w ostatnim okresie historycy jakby odstępowali sprawy chłopskiej, probującej zrehabilitować przeszłość bądź przez korzystne rzekomo dla Polski porównanie stosunków polskich z położeniem chłopów w innych krajach, bądź przez tłumaczenie niedoli i niewoli chłopów naturalnymi czynnikami rozwoju. Są zwolennikami reform umiarkowanych, hamowanych, **nie sekundują wzbierającemu ruchowi społecznemu mas chłopskich".** C. d. n.

Stanisław Śreniowski

Juliusz Nowak-Dłużewski

Muzeum Świętokrzyskie i Biblioteka Wojewódzka w Kielcach

Należy pisać o nich razem, bo powstały równocześnie.

Obie te instytucje są dziećmi reformy rolnej. Kiedy na podstawie dekretu PKWN ziemia dworska na terenie Kielecczyzny po jej wyzwoleniu spod okupacji niemieckiej przeszła w posiadanie chłopa, wyposażenie wewnętrzne dworów o wartości artystycznej i kulturalnej, stało się własnością Państwa. Województwo kieleckie w południowo-zachodniej swej części, ziemi loessów i rędzin, było siedzibą wielu zamożnych rodzin ziemiańskich, zasiedziałych tu od stuleci, które, czy to z zamiłowania, czy ze snobizmu, kolekcjonowały przez szereg pokoleń cenne obrazy, stare i szacowne meble, wartościowe książki. Wymienić tu można przykładowo Chroberz Wielkopolskich i Sancygniów Deskurów. Część południowo-wschodnia województwa (Sandomierskie), również obfitująca w zamożne dwory, uległa wielkiemu zniszczeniu w okresie letnich i jesiennych walk r. 1944. Nie tylko chałupa, ale i dwór padał ofiarą walk na przyczółku. Do niepowetowanych strat należy, na przykład rozproszenie cennych zbiorów muzealnych w Kurozwękach Popielów, o których mówiono, że przewyższały swą wartością całe wcale niemałe latifundium kurozwęckie. Padły one ofiarą nie tylko wojny, która oszczędziła zamek kurozwęcki (z czasów jeszcze kazimierzowskich), ile — w trakcie walk przyczółkowych—nieroztropności ludzi, którzy mieli w swej dyspozycji zbiory kurozwęckie.

Inter arma silent musae. W ogniu dokonywanej reformy rolnej więcej również pamiętano o ziemi, sprawie realnej, praktycznej, niż o tym, co zamykają w sobie ściany dworów, o rzeczach zbytku, luksusu życiowego. Ale i to stało się przynętą dla prywatnej pożądliwości ludzkiej. Pastwą jej padały w pierwszej linii przedmioty o wartości praktycznej, pociągające w dodatku zewnętrznym bogactwem, splendorem. Rzadko kto z przygodnych intruzów mógł się poznać na wartości, nieraz wielkiej, obrazu czy cennego, choć niepozornie wyglądającego, mebla. Przecie jeszcze latem 1946 r., a więc już bardzo późno, szperając po okolicy, natrafiłem na śliczną barokową komódkę, która w zaniedbaniu i samotnie stała w jednej z opustoszałych izb dworu w Czaplach Małych (pow. miechowski), nie znalazłszy na siebie amatora. To samo da się powiedzieć o gdańskich zydlach z tych samych Czapel. Ale taka np. porcelana wędrowała od razu z kredensu dworskiego do komory wiejskiej, jeżeli nie na targowicę miejską. Im porcelana była starsza, a mniej optycznie atrakcyjna, z tym większą bezceremonialnością obchodzono się z nią. W taki sposób przepadło kilkanaście dużych pak porcelany koreckiej ze Ściborzyc (pogranicze pow. miechowskiego i olkuskiego), której się nie udało odzyskać dla Muzeum mimo długich i męczących starań oraz zabiegów. Rozpłynęła się po okolicy, o ile przedtem nie została wytłuczona i wyrzucona do rowów przydrożnych podczas wędrówek ze Ściborzyc i do Ściborzyc.

Bywało również inaczej. Cenny księgozbiór z Nagłowic mógł się znaleźć bez większych strat w Kielcach tylko dlatego, że komórka PPR w Nagłowicach otoczyła go opieką i nie pozwoliła na rozbieranie przez przygodnych amatorów. Biblioteka w Bejscach dostała się do Kielc chyba w całości dzięki opiece paru inteligentnych osób z miejscowej rzemieślniczo-małorolnej ludności.

Jeszcze w ostatnim roku okupacji niemieckiej w Kielcach grupa osób złożona z pp. Jana Czarnockiego, Edmunda Massalskiego, prof. Bohdana Pniewskiego, prof. Kazimierza Skórewicza oraz podpisanego, zaczęła prowadzić studia teoretyczne nad zagadnieniem metod badania kultury regionu kieleckiego. W grupie tej zrodziła się inicjatywa zużytkowania podworskich dzieł sztuki woj. kieleckiego — a to na podstawie wspomnianych wyżej dekretów rządowych — dla ufundowania miejscowego muzeum, muzeum kieleckiego (muzeum pod nazwą Świętokrzyskiego istniało w Kielcach jeszcze przed wojną, ale to w bardzo skromnych wymiarach, zwłaszcza jeżeli chodzi o dział sztuki). Tzw. Komitet Organizacyjny Muzeum Regionalnego w Kielcach, do którego weszły wymienione wyżej osoby, działający pod przewodnictwem Juliusza Nowak-Dłużewskiego, uzyskał od Naczelnej Dyrekcji Muzeów i Ochrony Zabytków mandat organizowania muzeum kieleckiego z podworskich dzieł sztuki województwa. Osobiste przedwojenne warszawskie koneksje prof. Bohdana Pniewskiego walnie dopomogły do uzyskania akceptu pomysłu oraz właściwych funduszów na akcję organizacyjną i przelewu ich z centrali w ręce ludzi Naczelnej Dyrekcji dotychczas nieznanych.

Od sposobu i szybkości akcji zwózkowej zależało, czy Muzeum zostanie ufundowane.

Przystąpiono też niezwłocznie do organizacji akcji zwózkowej.

Mandat na to otrzymał od Komitetu Organizacyjnego jego przewodniczący; na nim też spoczął główny ciężar pracy planowania i organizowania akcji na miejscu w Kielcach i w terenie..

Zaczęło się od walki o lokal dla przyszłego muzeum. Lokal prowizoryczny w południowej baszcie gmachu Urzędu Wojewódzkiego był paradoksalnie szczupły. Prowadzono przez czas dłuższy pertraktacje, zresztą bezskuteczne, o zdobycie starego domu przy ul. Zamkowej (własność w połowie ub. stulecia naczelnika pow. kieleckiego Tomasza Zielińskiego, amatora i mecenasa sztuki). Lokal obszerny i właściwszy uzyskano dopiero w obecnym gmachu muzealnym „Pod arkadami". Ale zanim do tego doszło, trzeba było stoczyć formalną i dłuższą batalię z Zarządem Miejskim, który gmach ten uporczywie przeznaczał dla Związku Pracowników Miejskich. Dopiero ostra i zdecydowana interwencja Przewodniczącego Woj. Rady Narodowej Józefa Ozgi-Michalskiego przesądziła ostatecznie sprawę na korzyść Muzeum.

Jeszcze w lutym 1945 r. zaalarmował mnie Józef Morton, pisarz ludowy, pochodzący z Chrobrza, wiadomościami o losach urządzenia podworskiego, zwłaszcza zaś najbogaszego na terenie woj. kieleckiego księgozbioru i archiwum ordynacji Wielkopolskich. Nieoszacowane te zbiory miały być wynoszone przez nieuświadomioną ludność okoliczną. Jasne było, że pierwszym celem wyprawy powinien być Chroberz. Ale tu stanęliśmy przed przeszkodą nie do pokonania. Przez cały marzec nie można było uzyskać samochodu; auto należało do rzadkości, boć przecie wojna była jeszcze w całej pełni. Z trakcji konnej przy wielkich odległościach trzeba było zrezygnować. Ówczesny wicewojewoda kielecki mgr Piaskowski był bezsilny, choć sam rozumiał cel działania i pragnął nam iść na rękę.

Dopiero 4 kwietnia mogła dojść do skutku pierwsza wyprawa, historyczna dla Muzeum wyprawa chroberska, w której obok mnie wziął udział ówczesny Naczelnik Wydziału Wojewódzkiego Kultury i Sztuki Julian Rogoziński. Rzeczywistość potwierdziła zapowiedzi. Pałac zastaliśmy ogołocony z urządzenia wewnętrznego, poza ocalałą galerią portretów rodzinnych (obrazy o treści nierodzinnej zniknęły) i resztek — imponujących mimo wszystko! — zbiorów biblioteczno-archiwalnych. Olbrzymia sala biblioteczna przedstawiała się rozpaczliwie. Gdzie niegdzie tylko widniały na półkach szeregi książek; reszta leżała luzem na podłodze i w paru potężnych stosach. Deptało się po starych drukach, często odartych z kosztownych opraw. W dolnej lewej półce sali znaleźliśmy ledwie parę tomów ze zbiorów druków bazylejskich XVI wieku, których wedle opinii osób, znających księgozbiór chroberski jeszcze sprzed wojny, było w nim za 100.000 franków szwajcarskich w złocie. Brak było żelaznej skrzyni z kilkudziesięciu pergaminami i dyplomami, sięgającymi czasów Kazimierza Wielkiego. To była strata najboleśniejsza. Archiwum chroberskie znaleziono w budynku biurowym ordynacji. Leżało na ziemi, pomieszane z kupami buraków i ziemniaków, podarte, poniszczone i splugawione. Były to resztki archiwum, które spadło na Wielopolskich po Myszkowskich; wzbogacane z każdym pokoleniem, specjalną wartość posiadało ze względu na niewyzyskane jeszcze materiały rękopiśmienne, pochodzące z kancelarii oraz z jego prywatnych zbiorów, dotyczących okresu 1863 r. Zbiory opieczętowano na miejscu pieczęcią Wydziału Kultury i Sztuki; półciężarówka wróciła do Kielc, wypełniona po brzegi obrazami (m. in. przyjechał wtedy znakomity Lampi) i starodrukami.

Nad historią Chrobrza zatrzymałem się nieco dłużej, gdyż sytuacja chroberska powtarzała się z małymi odmianami prawie wszędzie, dokąd docierał samochód delegata muzealnego. Chroberz był tylko wypadkiem przeciętnym tego, co się działo na terenie całego woj. kieleckiego, usianego obficie zasobnymi ośrodkami podworskimi, z których każdy posiadał swoje zbiory muzealne i biblioteczne, choćby nawet nie w skali chroberskiej.

Akcja była tym trudniejsza, że trzeba było ją prowadzić na podstawie wywiadów na miejscu oraz informacji ludzi dobrej woli. „Zbiory polskie" W. Chwalewika, jak się przekonałem, były bardzo niewystarczające i zawodne. Próbowałem wciągnąć do akcji informacyjnej uczestników różnych konferencji wojewódzkich, którzy odwiedzali Muzeum i Bibliotekę, ale okazało się to zawodne.

Rozpoczęto przeto nieustępliwą i konsekwentną pracę zwożenia do Kielc zarówno

Jan Maria Gisges

O B Ł A W A

(fragment)

W tętnie nocy nierównym przepływał stronami
od Suchej Woli, Sawicy, od Rytwian i Klasztoru
skowyt psi — po horyzoncie łapami
wycia drapał padając na echa boru
liści poruszeniem. Czasem spojrzenie
padało wstecz. I wtedy źrenice nabierały koloru
łuny przygiętej, wspartej o przestrzenie.

Las został w tyle. Omijali wsie, by rozbudzone ujadanie
nie zdradziło wrogom kierunku ucieczki.
W bruzdach deptanych kryło się konanie
nalatujących głosów, gdy same brzeżki
ledwo widocznych zagród i drzew baranic
utrzymywały gromniczny odblask misterny niby koroneczki
przy kołnierzu z traw miedz i granic.

Miesiąc ostrym swym końcem
tkał obłoków zielonkawych wełnę
leniwie na ubiór dnia, którą słońce
rozprasuje blaskiem. Noc jak dzieża pełna
ciasta kipiała nienazwanym lękiem,
a na łunie zawisł płacz jesienny
najdłużej niespokojnym jękiem.

W rozmowach (nie wiadomo dlaczego zciszonych)
cienie przedłużały niewidok, a skracały odległość —
Oczy ustom w grymasie podały smak słony —
O! Domów podsienia w milczeniu zbyt trudnym
— dawno nienawiedzane. Cóż? Chat ich strzegły
od nich dalekości. Myśli jeno zsypywali jak do urny.

Niebo już szarzało od wschodu,
kiedy zeszli ze wzgórza i przecięli szosę,
błonie, wchodząc w wikliny. Byli niedaleko brodu.
Z gałązek przyjęli rosę
za napój poranny
i za krzakami legli jak mosty
na brzegach — Widnokrąg bladł nieustannie.

Wtedy — w nasileniu cel koniecznie potrzebny —
zaczął ze wzgórza schodzić bez planu
tyralierą jako grad podniebny
siwy. Rozsypał się po błoniu —
i na wierzbach oparł.
Brzeg w promieniu brzasku go nie zjednał:
— tam krzewy i mglisty opar...

Oczy niecierpliwe złożone na celowniku
zza wysmukłych ramion strzegły swojej pieśni —
Wzruszenie zawisło wonią na pierwszym promyku —

. . . .

Listopad odszedł od nich najwcześniej.
Trójki poszły na północ. Ich śpiew Wisłą spłynął.

artystycznych, jak i bibliotecznych zbiorów podworskich. Równolegle i na równych prawach. Trudno było bowiem orzec, co jest ważniejsze: czy stary mebel, wartościowy obraz, czy stara cenna książka. Stanęło się na słusznym stanowisku, że jedno i drugie jest jednakowo ważne. Twardym nakazem chwili było ratowanie wszystkiego, na co się składały niejednokrotnie wieki. Przypominam sobie argumentację swoją u czynników, dysponujących samochodami, że przewożenie zbiorów, które rosły w ciągu stuleci, jest nieporównanie ważniejsze, niż transportowanie zboża, które rośnie co rok. Dowodziłem, że po chwilowym głodzie fizycznym nastąpi u nas długotrwały głód kulturalny, którego nie będzie czym zaspokoić. Bo z samochodami było wciąż źle. Jeżeli się zdobyło samochód z Woj. Urzędu Samochodowego, brakowało benzyny, a papierowe przydziały benzynowe z Warszawy w niczym potrzebom nie zaradzały. Gdyby nie pomoc wicewojewody Henryka Urbanowicza, do którego resortu należał bezpośrednio WUS (późniejszy PKS), a który na naszą prośbę umieścił wśród klientów Urzędu Samochodowego Muzeum Świętokrzyskie na drugim miejscu po Urzędzie Bezpieczeństwa, Muzeum nie mogłoby się było wywiązać ze swych zadań. Życzliwą opieką otaczał również Muzeum wojewoda Eugeniusz Wiślicz-Iwańczyk. Walka o samochody w pierwszym roku rewindykacyjnym 1945, ścierała siły i nerwy w wiecznej szarpaninie. Zwłaszcza w obliczu odpowiedzialności za wypełnienie niepowtarzalnego na przestrzeni wieków obowiązku.

W tych warunkach nielada gratką była możność sprowadzenia z pow. pińczowskiego koleją wąsko- i szerokotorową paru wagonów dzieł sztuki i książek.

Już po dwóch chyba miesiącach takiej pracy, która dała jednak realne rezultaty, Naczelna Dyrekcja Muzeów widziała, że fundusze, asygnowane na akcję, nie szły na marne. Nie mogło więc już być żadnych przeszkód w dalszym szczodrym dotowaniu Muzeum Świętokrzyskiego. Dotacje nabrały charakteru niejako automatycznego.

Tzw. „zabezpieczanie" książek podworskich nie należało do bezpośrednich zadań Muzeum. Prowadziło ono tę akcję, mówiąc otwarcie, iure caduco, bo należała ona właściwie do resortu Ministerstwa Oświaty, a więc powiatowych ośrodków dyspozycyjnych tego Ministerstwa. Nie było jednak czasu na formalizowanie, bo książka w terenie z każdym tygodniem znikała. Toteż upoważnienie od Naczelnej Dyrekcji Muzeów, które otrzymałem w początku czerwca 1945 r. do zabezpieczania obok zbiorów muzealnych również i zbiorów bibliotecznych, miało swoje duże praktyczne znaczenie.

Poważną przeszkodą w organizacji wypraw był brak właściwych delegatów terenowych. Tę ciężką i odpowiedzialną pracę pełniły w sposób ciągły tylko dwie osoby pp.: Stefan Styczyński i Jan Aleksander Zaremba, po wyjeździe z Kielc pierwszego — dr Marian Witkowski.

Mimo jednak wszystkich trudności udało się w ciągu miesięcy: kwiecień — czerwiec 1945 r., a więc w miesiącach suchych, najdogodniejszych do akcji terenowej i miesiącach „krytycznych", zorganizować 44 wyprawy terenowe, trwające nieraz do tygodnia. Wyprawy nie ustawały również jesienią i zimą r. 1945—1946, o ile oczywiście zdołano uzyskać samochód, o który nadal było bardzo trudno. O systematycznej akcji terenowej można było pomyśleć wtedy, kiedy Muzeum Świętokrzyskie otrzymało wreszcie własny samochód z przydziału UNRRA, na który dostało pieniądze od Dyrektora Naczelnego Muzeów (luty 1946 r.). Ale było jasne, że samochód własny mógłby był odegrać decydującą rolę — rok wcześniej.

Zasięg działalności wypraw obejmował teren całego woj. kieleckiego, spoza niego — powiaty: miechowski i olkuski, które administracyjnie odpadły od woj. kieleckiego, ale które utrzymano w sferze działalności Muzeum Świętokrzyskiego. W czasie późniejszym Muzeum Świętokrzyskie uzyskało od Naczelnej Dyrekcji Muzeów prawo akcji na pow. konecki i opoczyński woj. łódzkiego, prawo zresztą niewykonane wskutek trudności stawianych delegatom i Muzeum przez czynniki miejscowe.

Pierwszy rok działalności zbierackiej przyniósł plony najobfitsze, w drugim, 1946 r., plon ten był już o wiele słabszy. W roku tym z akcji brania „pełnymi garściami" trzeba było stopniowo przechodzić na coraz trudniejszą pracę wydobywania zbiorów od osób prywatnych czy instytucji niepowołanych, gdzie się znalazły zbiory podworskie. Do dnia dzisiejszego sporo jeszcze muzealiów i książek znajduje się w rękach prywatnych. Sądzić należy, że wcześniej czy później przedmioty te znajdą swoje właściwe pomieszczenie w Muzeum Świętokrzyskim i w Bibliotece Wojewódzkiej.

W wyniku całej akcji zbierackiej Muzeum Świętokrzyskie uzyskało przeszło 2000 pozycji inwentarzowych, wśród których znajdują się niekiedy pozycje jedyne i niepowtarzalne w historii sztuki i kultury polskiej (obrazy, grafika, sprzęt i porcelana); mieści się wśród nich najbogatszy chyba w Polsce zbiór portretów rodzinnych. Biblioteka Wojewódzka zdobyła do 40.000 tomów. Uderza w niej obfitość starodruków od w. XVI, idących w wiele tysięcy, książek naukowych i beletrystycznych w różnych językach europejskich, często książek o wartości historycznej; można tu wspomnieć o woluminach z biblioteki króla Stanisława Augusta, o książkach z biblioteki Adolfa Dygasińskiego itd.

Juliusz Nowak-Dłużewski

Jan Baranowicz

WIERSZE ŚLĄSKIE



Jan Baranowicz

BURZA NAD JEZIOREM OTMUCHOWSKIM

Szła burza. Gdy o tamę oparł się jej deszcz,
jezioro zmatowiało w ogromny ametyst.
Wiatr zedlił gładką wodę. Jak okoń lub leszcz
ślizgał się kosmyk srebra po pęcinie grzbietów.

Szła chmura. Deszczu włosy jak bielone lny
kudłały się nad łanem wąskolistnej łozy.
Błyskawicom ściekały z oczu złote łzy.
Cień po łące jeziora fioletem się płozil.

Szła chmura. Jak rybitwa na granacie piór
ważyła się zwycięsko, gęściejsza od zmierzchu.
Bezbronna była woda, u kamiennych burt
brzegu żebrząca łaski, biczowana z wierzchu.

Wtem wiatr, co dotąd żmudnie przy radleniu mókł,
odbił się. Gniewnie roztrząsł puchy chmurnych poduch.
Nad pagórkiem, co w niebo napinał swój łuk,
wieczór odmykał słońcu ciche drzwi zachodu.

ŚPIEW SŁOWIKA NAD NYSĄ

Nad miastem ruchy zrębów, oprawionych w bluszcze,
białe mleko ulewy kiśnie w trzewiach chmury.
Przez wąskie palce prochy — nim się deszcz rozpluszcze
cedzi przekornie ulic zamiatacz — wiatr bury.

Nim z wymienia obłoków zdrój tryśnie, nim rzeką
ostudzi skroń i w spaźmie wysuszone gardło,
jak morskim perłopławom zmęczonym powiekom
ciąży cmentarny popiół miasta, co umarło.

I łzy spływają w dzieje. I łzom się przyzierasz: —
czy wiatr żwirem je wygnał, czy z słodkiej są missy
słowika, co po nocy śpiewem dzień otwiera
sklepionym w nastrój arkad, cierpkim zgliszczom Nysy.

DESZCZ W KARKONOSZACH

Powleka mgłami niepogoda
sytą, skupioną regli zieleń.
Obłoki wiatr w szarańczę podarł.
Ku słońcu płyną coraz śmielej.

Już błękit zagasł. W stalaktytach
spód chmur ku stokom się wydłuża.
Ultramaryną żleb zakwita.
Jak kadź z ukropem dymią wzgórza.

Wciąż mroczniej. I naraz jak w bursztyn
w świetlisty deszcz krajobraz wsiąka.
Jakby wyłożył kto inkrustem
skały i las i mchy na łąkach.

Szum chłodu. Lśniąca kropel ospa.
Ugrzęzły w wodzie łyse kopy.
Z potoku dźwignął się wodospad.
Wali się wprost. Jak powódź topi.

Przestało. Znów ku oczom Śnieżka
powaby śle niepokojące.
W smrekowych wierzchach, w żwirnych ścieżkach
tarza się źrebiec — górskie słońce.

BALLADA O STARYM LOMPIE I LIPIE WOŹNICKIEJ

Lipa tu kiedyś rosła zielonym obłokiem
nad szkarpą mogił, które równał czas i człek.
To tutaj, gdy jesiennym wrzosem wieczór dokwitł,
kiedyś, w starych Woźnikach śląski Lompa legł.

Pewnie siadał tu często w odwieczerz niebieski,
latem, gdy brzęczą pszczoły i gdy pachnie miód
I dumał jakby Polskę od tej czarnoleskiej
lipy w krajobraz Śląska flagą dwu barw wplótł.

Liczyła sobie krępa gazdocha woźnicka
trzysta wiosen a Lompa sześćdziesiąt i sześć.
Zgasły w nim niepokoje. I ostrzymność wszystka.
Kościół w Lubszy. Organy. I szkoła. I wieś.

Jeno w gawędach starczych, przy niuchu tabaki,
utkane z klęsk wspomnienia z krzywą lipą snuł: —
Nędzą puchły dni chłopskie. A rady nijakiej.
Harówka. Głód i tyfus. Śmierć i wspólny dół.

Modrzewiowe kaplice milkły od rozmodleń.
W karczmach pruskich pańszczyźniak nadzieje swe grzebł.
Wilcze oczy Regencji szpiegowały podle.
Jeno to polskie słowo karmiło jak chleb.

Potem pogrzeb. Dwanaście dzieci koło trumny.
Fraki mieszczan. Wieś gęsta. I przyjezdnych garść.
Z boku żandarm ostrożny. Na niebie śpiew szumny
z lipy. W dziupli pieśń drugą grała pszczela barć.

Niech wdzięczność w zbiorze zasług znoi się łakomie.
Niech stawią głaz — choć wątpią, gdzie też spoczął mógł.
Pokażcie go Ojczyźnie! Był tym, co niósł płomień!
Po nim niósł Lud. Aż przyniósł na wolności próg! —



Rzeźba wykonana przez Piotra Kowalskiego (Sosnowiec) przedstawiająca Józefa Lompę

Marianna Kościńska

NA WYDARTY

opowiadanie

CHAUPA Ciurki wisiała na pagorku. Niby to była przy gościńcu jak chaupa jakiego gazdy, ale podokółkiem zazierała w las. I dobrze, że przylegała do lasu, bo ten las Ciurkę chował. W zimie, kiej się ino rozwidniło szedł w las do sągów. Po robocie, kiej się już dobrze zmrokcyło zaczynał pracować na własną rękę. Bo Ciurka to był chłop zaganny i przemyślny. Za widoku upatrywał susyce, a nocą pokryjomu haratał piłą i wrzucał do paryje. Umorosany do izna w śniegu wlókł susyce w podokółek. Tu rąbał znowu na długie szczapy, jak do chlebnych pieców. A w dnie targowe przepasany pod pazuchy powrósłem wiózł szczapy na sankach na sprzedaż do miasteczka. Na załatanie dziur w chaupie. Trudnił się także wyrabianiem rogali, warząchew, deseczek, łopat i ciosków do chlebnych pieców — i takich „cejniejakich dupereli" jak sam swoją robotę nazywał.

Bo na Wydarty nie było na tyle pola dla Ciurki, żeby mógł z niego wychować siebie i babę z dzieckami. Może z półtora korca pola w dolinie pod chaupą sadził ziemniakami, kapustą, karpielami i siał na zmianę raz żytem, a raz jęczmieniem. A i to pole było perzaste i kamieniste. Sam kamień i pyrz — jak w złości pogadywał. Na szerokich, zielonych pólkach po tamtej stronie gościńca, kań miedze leciały do wiklin, rozporli się mostkowskie gazdy. A ino — Mostkowioki. Mostkowioki nie bali się Wydarte. Siedzieli w Mostkach bezpieczni jak te susyce podokółkiem u Ciurki. Pola to ta mogły i „carty z mamónami" dopilnować, bodaj by ziarna nie stolały. Bo przecie na Wydarty straszyło. Choć ta Ciurka nikiej tych strachów na sobie nie doświadczył. Za to ludziom to opowiadał cuda. Cudem boskim i swoją głową „nie na wsy" strachom poradził. Eee, bo Ciurka to był bucyrz, ho, ho! Rycyputa na całą Wydartą i okolice. W nocy, przy susycach niejedną boginę przekurzył, a jednemu strachowi co się chciał z nim mocować siekierą głowę rozchlastał na pół.

Ale zwyczajni ludzie bali się Wydarte, każdy tam przyspieszał kroku. Choć Wydarte należało do Mostków, Mostkowioki nie przyznawali się do niej. To była Wydarta niewiadomo kiej i przez kogo tak przezwana. Bo ni las, ni wieś, ni gościniec i pola. Zwyczajnie Wydarta. Jakby jaźwiecowi z pyska wydarta. Z jednej strony gościńca kilka metrów za fosą warował tajemniczy las; z drugiej strony na równi ciągnęły się puste pola aż het do wiklin. Parę chaup przykucniętych na górce nadawało jeszcze większej tajemniczości tej okolicy. A już najbardziej tajemniczo przedstawiała się murowna wielka karczma z powybijanymi szybami, gdzie nikt nie mieszkał. Tu każdego oblatywał strach. Tu, w tej karczmie kiedyś po jarmarkach rojnej i gwarnej, wydarzył się straszny wypadek. Córka karczmarza utopiła się w studni z wielkiego kochania. Od tego czasu pono straszyła. I stary karczmarz ze zgryzu przeniósł się na tamten świat. Karczmę zostawił na postrach — bo się w niej nikt nie miał zamiaru osiedlić.

Łońskiego roku przed godami, gościńcem ku Wydarty wlókł się obdarty wędrus. Pogadywał do ludzi, że idzie ze szpitala. Prawie się zmrokcało kiej dolazł do Wydarte. Poobzierał małe i nędzne chaupki, pomedytował — i ruszył w dalszą drogę ku Mostkom. Tam zastukał do zamożnego, o wielkich izbach domu i przymawiał się o nocleg. Ale rozpajerzony taką śmiałością oberwańca gazda zeszczuł go psem. Nie wiele myślęcy, wędrus wrócił się ku Wydarty i powlókł się w las. Tam rozpalił ognisko żeby się ogrzać — i jakoś przy tym ognisku mu się zemznęło. Ciurka, co to szedł odednia ku robocie w las, znalazł wędrusa spalonego do imantu. Łachy się pod nim we śnie zajęły — i tak skończył ten marny żywot. Od tego czasu podobno straszył. Pono co noc palił swoje ognisko. Po nocy wodził ludzi aż do białego rana jak się ta kań komu o zmroku wydarzyło iść lasem. Ciurka przed ludźmi miał wielką z wędrusem kompaniją. Wdawał się z nim w pogworki w lesie. I nieraz nawet wędrusa poodgrywać lubiał.

Tak jak i dzisiejszej świętej niedzieli nieprzymierzajęcy.

Mostkowskie ludzie szli ze sumy. Kańniekań widziało się i zawodzoków, choć zawodzoki mieli swoją parafiję za wodą. Ciurka usiadł na ławce przy oknie i pykał fajkę. Patrzał. Mostkowskie dziewki były poubierane paradnie. Śmigłe jak te topole, urodne, wszystkie były paradne. Pod brodami nakrochmalone kryzy, zębate i marszczone, bieliły się i szkliły jak gufrowane suknie aniołków na podważniczce przy świeczkach. A po kryzach popuszczone rzędy korali. Gorsety aksamitne, czarne, nabijane kwiatami paciorków i blaszek. Niczem krakowianki. Tylko szumiały długimi do kostek spódnicami, bardzo szerokimi. To tak szumiały w spodzie nakrochmalone halki wypuszczone haftami na wierzch. Zapaski długie, koronkowe albo z muślinu przebijały jaskrawość spódnic. Na głowach strzępiaste chusteczki jedwabne lub z kazimierku. Najsmyśniejsze to były chyba aże trzy Olchawianki. Wysokie, cieniutkie w pasie, wypuściły z pod chusteczek wijące się, kasztanowate włosy na roześmiane twarze. Ale i Ciąglonki swojocki mogły się z nimi równać. Te tak samo dorodne, czarne i smagłe. Małych, karłowatych dziewek nie znalazłbyś tam ze świeczką. Nawet te wyrobnice, te komornice były dorodne.

Ciurka lubiał się na te parady patrzeć. Pykał fajkę i kiwał głową. Choć ta i w Hameryce był ale takiej parady nikań nie widział jak Mostkach.

Gęzwata w mowie baba Ciurki, krzątająca się dotąd koło obiadu, wlazła teraz w drzwi i oparta o futrynę zerkała także w okno ciekawie, opędzając się od czasu do czasu dwojgu małym reptokom Rózi i Franusiowi.

Na gościńcu, poniektóre dziewki i nawet starsze baby, te komornice, wyrobnice i biedniejsze krewniaczki, zetknąwszy się oko w oko z zamożnymi gazdami przykucały i obłapywały gazdów za nogi. Był to rodzaj powitania i oddania czci chłopskim doczesnym dobrom w morgach i żywiźnie.

— Jo bym ta nikiej tak chłopów za nogi nie łapała — odezwała się Ciurcyna. — To nie honór, to wstyd lo baby.

Ciurka przestał pykać fajkę.

— Jako mi grofka... — odpowiedział — Ale jakbyś musiała iś do Mostkowicków na zarobek to byś inacy purycówała.

— Jee! — żachnęła się baba. — I za zorobkiem chodziła jakem dziopom była, alem chłopów nikiej za nogi nie łapała!

— Jakie tam twoje zarobki, jakie? — kiwał się Ciurka.

Kupa zowadzkich ludzi z gościńca zatamowała zaogniającą się dyskusję. Dziewki nie były takie prymne jak Mostkowianki. Nalane. Przysadziste. Krótkie. Co trzecia zakrywała chusteczką wola. A i parobki z za wody dźwigali pod szyją wola, jedni większego, drudzy mniejszego. I pozierali ku śmigłym i urodliwym Mostkowiankom.

— Bryćkie tys to te ludzie z zo wody bryćkie — zafuczała przez nos Ciurczyno. — Same niedochadloki. Wolowoce.

— Letniki od Jonika godają, że to z wody — wyjaśnił bez przekonania Ciurka.

Ciurcyno wyciągnęła ku oknu rozdętą szyję.

— I jo tys jes z zo wody, a jaką mom gładziućką syję — o! — dla unicestwienia takich poglądów głaskała się demonstracyjnie po szyi — kań ta z wody, kań? — posuwała się pod okno, ku światłu. — Jaką to mom gładziućką syję — o!

— Ooo, bo to prowda... — chłop uśmiechnął się z łagodnym powątpiewaniem. — Ale, ze to nie z wody, to i jo tak penetruję na mój głupi rozum. Bo i jo bez porę roków zowodzką wodę pijoł, a wola nimom. Na mój głupi rozum to jo tak penetruję, że to jes od plemienio. — Jakie łojce takie dziecka. Jakie plemię, taki ród. Tak jak i zywizna i ziarno. Jak zywizna i ziarno piykne, to i ród piykny. Jak nasiejes cystego zyta, to ci sie cyste urodzi. A jak nasiejes z kąkolem, to mos som kąkól.

Wywody zostały nagle przerwane. Ciurka nagle odskoczył od okna, dając znać babie żeby się odsunęła także. Ludzie, którzy przedtem spoglądali tylko w przechodzie ukradkiem ku jego chaupie, teraz grupowali się, przystawali — i ni to z ciekawością, ni ze strachem wpatrywali się w szybki jego izdebki. Wpatrywali się uporczywie w górę, jakby chcieli zliczyć tragarze i nawet deski na pułapie. Wiadomo — Wydarta. Wszędy po Wydarty tak pozierali ludzie. Ni to strach ni ciekawość. Ku chaupie Ciurki choćkiej tak pozierali. Ale teraz patrzyli jak na gusła. Jakby jego baba — ni carownica, knyciła masło w oknie. Z jednej strony, Ciurkę mierziły te wybulania oczu — ale, z drugiej strony dawały mu kapkę uciechy. Dzisiaj postanowił wypłatać ludziom figla. Doskoczył do hamerykańskiego kuferka i wyciągnął hamerykańskie portki potargane w zadzie do izna. Łachami co były na podorędziu wypchał portkom ryć i nie wiele myślący przystawił portki do okna. I zaczął nimi myrdać tak dziwacznie jakby się żywy chłop zwijał z boleści od oparzenia w zadek. Przy tym brzescał ni jaźwiec, ni kot — i borucał ni krowa przy ocieleniu, albo — co nie daj Boże — przy puceniu.

Dwoje małych reptoków Rózia i Franuś picyły się ze strachu. A baba śmiała się gęzwatym śmiechem do rozpuku.

— Nie śpasuj ze Józek, nie śpasuj — mitogowała chłopa, ale tak od niepeci.

Początkowo ludzie się także śmiali. Ale w miarę jak Ciurka kuglował amerykańskimi portkami, ludzie zaczęli się cofać ku fosie. Dziewki żegnały się krzyżem świętym. I nagle, jak oderwane z zaczarowa-



rys. St. Cieloch

nego koła zaczęły uciekać w popłochu. W biegu Mostkowiankom trzepotały korale o krochmalone kryzy z takim pobrzękiem jakby ksiądz potrząsał tacą z pieniędzmi w kościele. Parobki się tak nie uwijali — ale i oni zaczęli przyspieszać kroku. Nawet ci najwięksi bucarze ruszyli z miejsca z lekkim dreszczykiem po ziobrach.

Ciurka przestał majdać portkami. Uśmiechnięty, usiadł na ławce pod oknem i trzymał portki w dwu palcach, jakby się ich okropnie brzydził.

Roześmiana baba zajęta uciszaniem dzieci w kuchni gągała przez szparę drzwi w izdebkę.

Tylko Izydor siedział na stołeczku pod piecem pochylony nad książką, jakby był z gliny. Siedział tak odkiej przygnał bydlęta z pastwiska. Nie miał nijakiego zainteresowania nawet dla śpasów ojca. Ciurka patrzał ku niemu z niechęcią. Miał go ochotę łotnąć pasem przez plecy, ale przy świętej niedzieli nie chciał obrażać Boga. Zacisnął ino zęby i przepowiedział do chodoka po dobremu:

— Coz sie tak kiwaces nad tom ksiązkom jak nieprzymiyrzając dziod nad miskom kapusty?

Izydor oderwał głowę od książki. Twarz mu się świeciła i po obu stronach czoła wystąpiły dwa guzy jeszcze mocniejsze jak ich miał zawdy.

— Coz ta w ty ksiązce stoi? Co tam opisują?

Izydor nie patrzał w ojca ino kansi daleko. I jakimsi odległym głosem nie z tego świata zadźwięczał cienko i czysto:

— Opisują o wielgim i barz piyknym lessie. Piykny las... piykny las... — powtarzał sam do siebie — Drzewa to tamok takie wielgie jak naskie góry.

Łociec grzebał patyckiem w fajce za bagą. Po chwili trzepnął fajką parę razy w dłoń i zgarnywał bagę pieczołowicie niby ziarenka pszenicy z pod przetaka. Zręcznym ruchem wrzucił bagę do ust i zaczął żuć powoli. Zapatrzony w miedzę pól, aż het do wiklin, mówił bez nijakiego zainteresowania:

— Las jak las... wszędy jednaki. Ino ze z daleka bury, a z bliska zielony. Wszędy jednaki...

— Nie wszędy! — odkrzyknął Izydor — Tu w ksiazce stoi...

— Tamok se mogą inacej durkówać — przerwał spokojnie Ciurka. — Ale jakby temu panu co tę książkę układoł przysło iś do lassa na siągi i ciupać siykiyrom bez calutki dzień, toby sie mu odniekciało lassowi cudówąć.

Izydor wsadził z powrotem nos w książkę.

A Ciurka stanął w oknie i mamrał:

— Ty ino cytej... ooo, dy cytej... Bow sie w Hejmeja. Świyć Panie nad jego dusom — ale z ksiązek mu sie wej w głowie pokiełbasiło. Z cytanio zgwaryjówoł. Taki gazda... A potemu to dziadował po chaupak. Ludzie się ś niego śmioli. Z ksiązek mu się zmysła popśniły. A ty ino cytej... Bo z cytanio wyzyjes...

Taką to miał Ciurka biedę z chodokiem. Niewydarzony. Niby nie niedochadły — a przecie był nieruchały. Spórki z niego nijakiej nie było. Nic — ino czytał. Przy krowach czytał. W chaupie czytał. Kiej było najwięcej roboty — wyjmował książkę z pod śpichlerzyka i umykał w las. Tam czytał. Sąsiady się z Ciurki śmiali. Niby to w oczy szklili mu, że ma ciętego i rozgarniętego chodoka, ale poza oczy kręcili głowami. Ciurkę to pucyło. Nieraz łamał sobie głowę, żeby chodoka posłać do szkół. Ale im bardziej nad tym rozmyślał tym bardziej dochodził do przekonania, że nie wydoli. Bo z czego? Głowy se nie obetnie. Z chodoka byłby dobrodziej — albo i taki co to mierzy — geometra. A tak to zwariuje jak nieprzymierzajęcy nieboszczyk Hejmej. Już teraz nierychtyk. Patrzy w las jak zbój — a przecie oczy ma jak jego patron Oracz święty. To imię także Ciurkę mierziało. Izydór. Na całe okolice nikto takiego imienia nie miał. Ni to żydowskie, ni siakie, ni owakie. Cudaczne. A z tym imieniem to było tak: ksiądz w parafii zachorował i zastępował go jakiś nietutejszy. A, że to było w maju, nadał noworodkowi imię Izydor, nie zapytawszy się gapiowatych, niewygadanych kumów, czy się na to zgadzają. Pokropił — i przepadło. Co to potemu było to szkoda przypominać. Ciurka przekurzył kumów na cztery wiatry, a babę chciał sprać, inc że uciekła w las. Wróciła dopiero na drugi dzień kiej chłopu co najgorsze przeszło. Ten wypadek długo obgadywano na wierchu Wydarte i nawet w dalszych okolicach.

A Ciurka krył się w izdebce. Sąsiadom co to zlatywali się na przepatry, na prześmiechy i chcieli się dowiedzieć jakie doprawdy ma dziecko imię, odpowiadał:

— Jak mu jes to mu jes, najwoźniejse, ze krzcony.

I butem poruszał bieguny kołyski.

Czasami kiwał długo czarną jak maź, naznaczoną dwoma wieńcami niedużą głową. Po takich kiwaniach zakradał się zawsze do skrzyni i wyciągał z półskrzynka grubą, nabożną książkę z pieśniami. Jakby chcąc przebić tajemnicę niezwykłego imienia przewracał kartki i czytał o świętym oraczu. Podobał mu się ten orac święty. Święty — a jaki to zaganny. Któremu świętemu by się to chciało za pługiem chodzić. Gdy jednak doczytywał do słów pieśni: „A On bije i katuje, jeszcze zabić obiecuje" — wtedy zawdy kładł delikatnie książkę na okienku i mamrał cosi do siebie. Bo Ciurka kochał żywiznę i nikiej nie łotnął by bydlęcia, a co dopiero: bić — katować — zabić obiecować.. I znowu nie podobał mu się ten orac święty. Jaki to — psia mać — bez sumienia — a święty! — buntował się przeciwko takiej świętości. W miarę jak Izydor podrastał Ciurka przyzwyczajał się, zapominał o tym boloku. Chłopaka nie wołał nigdy imieniem, ino zwyczajnie: chodok.

Po obiadowaniu Izydor wyprowadził krowę i cielisię ze stajni. Przewiązał rogi Murcochy powrozem, cielisię przywiązał do powroza i pognał bydlęta wyżętą miedzą naprzełaj do wiklin.

— Poziyroj ta na bydło — nie w książkę — upominał łociec przez okno.

Izydor wraził pod pozuchę książkę, którą trzymał już w ręce i miał zamiar otworzyć. Na polach cicho było i uroczyście. Niedziela. Białawym odcieniem owsa falował wiatr nasycając powietrze orzeźwiającym chłodem. Piękne były urodzaje na równi. Pszenice i żyta — samo złoto ze srebrem. Połyskliwa ciemnozielona nać buraków odcinała się soczystością od popielatej naci karpieli. Miedze błyszczały pasmami świeżej trawy. Od wiklin niosły się pobrzękiwania krowich belkotów, zmieszane z szumem Dunajca.

Pod bielanami rozwiązał krowy i puścił je samopas. Tu Dunajec był płytki: dwa razy zmieniał koryto i wystawił kamieniste dno na powietrze. Izydor podkasał portczęta. Brodząc do pół łydek w wodzie dotarł do wysepki. Z kamieni zmajstrował siedzysko i z włożonymi w wodę nogami zabrał się do czytania. Bo też miał piękną książkę — o piękną. Tytuł: W pustyni i w puszczy. Choć znał już sporo książek, nikiej jeszcze takiej pięknej książki nie czytał. Od samego tytułu leciały żywiczne za-

pachy i jakieś przestronne dale, tak że od pomyślunku nad tytułem już robiło się błogo na wnątrzu a po ziobrach cliwiły paciorki. Izydor cały był pochłonięty książką.

A krowy skubały trawę.

Słońce kłaniało się ziemi coraz niżej. Kiej ją ułapiło za kolana Izydor podniósł głowę. Jakby chciał przebić wzrokiem afrykańskie puszcze patrzał za brzeg Dunajca kań szeleściły potężne bielany. I nagle przypomniał sobie o bydlętach. Cały nieprzytomny jeszcze z czytania zaczął pędzić przed siebie. Ani krowy ani — cielisi pod bielanami nie było. A słońce kłaniało się ziemi niżej i niżej.

Izydor gnał przed siebie.

— Mur—co—o—o—cha! Mur—co—cha—a—a! Cie—li—i—i—iś! Cie—e—e —liś! wołał z całych sił.

— O—cha—a—a! I—i—i—iś! — odpowiadało mu echo.

Wpadł w gęstwę wiklin.

Łykowate, mocne pręty wikiel cięły mu twarz i tamowały ruchy. Przystawał, nadsłuchiwał — i znowu pędził naoślep. W drodze rozpytywał pastuchów, ale wszyscy se z niego i z jego bydląt bimbali. Nikto bydląt nie widział. Na polanach rozważał, który obrać jeszcze kierunek. Zgonił już wszędzie. Był w mostkowskich i zawodzkich wiklinach, na piątym cyplu, na gminnych i wygońskich pastwiskach, — ale krowy przepadły jak klucze w sianie. Nagle usłyszał wołanie któregoś z pastuchów.

— I—zy—dó—ó—ó—ór! I—zy—y—y—dór!

— I—zy—dó—ó—ó—ór! — głos się przybliżał — kro—wy — sie—pa—są — pod — gór—ka—mi — w Lot—ko—wym — ko—ni—cu—u—u!

Strach postawił Izydorowi szczeciniaste włosy do góry. Zdrętwiało mu siedzenie. Pod przyciśniętą do piersi książką stanęło serce jak kompas nienakręconego zegara. W mig był już pod polami. Na górkach krowy szarpały żarłocznie koniczynę. Izydor wyszczerzył zęby, obejrzał się za siebie, nikań nikogo nie było. Znacząc miedzowym stupkiem miejsce rzucił książkę w Ciągłowe żyto. Z ulgą dopadł do bydła. Z zaciekłością prał bydlęta po zadach giętkim biczyskiem. Gonił naoślep przez jęczmiona, przez pszenice i żyta, przez karpieliska i buraczyska ku chaupie. Pękate niby beczułki taraszące urodzaje wyrywały żarłacznie buraki i karpiele w biegu. Zaczęły robić bokami. Murcocha boruczała i jak człowiek w nieszczęściu gnała do ludzi po ratunek. Tylko cielisia rzucała się na boki i słabła w nogach.

— Krowy mi pucy—y—y! — darł się w niebogłosy Izydor.

Gdy krowy wpadły w oborę Izydor onieprzytomniał.

Skurczony stanął pod ścianą śpichlerzyka i jak we mgle widział i słyszał poruszających się i jazgocących ludzi. Gwar ludzkich głosów mieszał się z niesamowitym boruczeniem krów. Z bólu pokładały się na ziemię. Jak w mętnej wodzie, Izydor widział zakasane po łokcie ręce matki sięgające pod ogon Murcochy, wygarniające z kiszek łajna. Ktoś krzyczał: aleus. Ktoś wołał: nafta. Ktoś doradzał: amoniak. Ludzie ugniatali pękate krowskie boki i wlewali w pieniące się pyski lekarstwa.

Powoli uciszało się boruczenie krów. To pomógł aleus wydobyty ze skrzyni u Noworyty, gdzie był przechowywany jak świętość.

Przed oczami Izydora mignęła spocona twarz matki.

— No, kwała Bogu. Kwała Bogu — odezwała się.

A do łojca przepowiedziała na boku:

— To bez te hamerykańskie portki! Pan Bóg nos pokoroł. Bo z nieboscykiem, jesce z takiem co strasy nikiej nie trza granicyć!

— No, no — odpowiedział Ciurka i pożrał na Izydora.

Ciurka nie łotnął by bydlęcia. Kochał wszelką żywiznę. Do Izydora podszedł i zgrzytnął zębami jak nieprzymierzający grzeszniki w piekle. Zgrzytał zębami a fajka trzepotała mu w rękach niby kokosia przy macaniu. Wraził fajkę za pasek i — nagle zamierzył się i grzmotnął chodoka w łeb. Prał „oczy nie oczy, głowa nie głowa". Izydor kurczył się, skamlał, zasłaniając się rękami jak tarczą. Ciurka dyszał gwałtownie:

— Ty sietnioku! Ty sosiu! A naści... Bedzies poziyroł na bydło — nie w książkę!? Bedzies?! A naści!...

Zaciekle padały kułaki.

— Dejcies mu juz pokój! Zabijecie chodoka! — piszczały baby.

— Poprawić mu! Niek na więcy rzy pilnuje bydła! Poprawić mu — przygadywali chłopi.

Izydor cofał się. Krew pociekła mu nosem i walała zasłaniające się ręce.

Zza ogrodzenia przyglądali się bitce Noworyty wyrostki. Powrzaskiwali uprawianym w wypadkach bicia rymem:

— Krzyc ze byku doś! doś! doś!

Bo ci pęknie w łepie koś!

Ciurka pożrał nienawistnie za ogrodzenie, chwycił Izydora za kark i pchnął go z całej siły od siebie aż grzmotnął twarzą o trawnik.

I powoli, nie uwijający się odchodził ku chłopskiej gromadzie.

Izydor miał twardą głowę. Podniósł się i powlókł w las. Ciemniało mu w oczach, lecz uśmiechnął się do przyglądających się mu ciekawie Noworycioków. Dopiero pod lasem rzucił się o ziemię, podkulił nogi pod siebie, plecy wygiął w pałąk i z wsuniętą w mech głową płakał długo i gorzko.

NIEKTÓRE MNIEJ ZNANE WYRAŻENIA GWAROWE

1. podokółek = kryty dachem przejazd, łączący stajnię z spichlerzem.
2. susyce = uschnięte jodły.
3. ciosek = przyrząd do wygarnywania ognia z chlebnych pieców.
4. jaźwiec = legendarne, dzikie zwierzę, rodzaj żbika.
5. podważnicka = choinka uwiązana u sufitu.
6. swojok, swojocka = przybrane dzieci.
7. niedochadły = niedorozwinięty.
8. patycek = zapałka.
9. baga = osad z tytoniu w fajce.
10. zmysła = umysł.
11. cięty = o żywym temperamencie.
12. rozgarnięty = inteligentny, bystry.
13. nierychtyk = pomylony (używane w sensie ironicznym).
14. wieniec = w tym wypadku układ włosów na ciemieniu.
15. bolok = wrzód.
16. bełkot = dzwonek uwiązany u krowiej szyi.
17. cliwić = łaskotać.
18. kompas = wahadło u zegara.
19. granicyć = przelewać granice.

Marianna Kościńska

Co słychać w gospodarce świata?

Tadeusz Orlewicz

BUŁGARSKIE AKTUALIA ROLNICZE

Bułgaria jest krajem zdecydowanie rolniczym o bardzo ostro występującym zjawisku przeludnienia wsi. Na 1 km² użytków przypadało w Bułgarii 116 ludzi. Olbrzymi głód ziemi uwidoczniał fakt, że na 1 osobę przypadało tylko 152 ary powierzchni uprawnej.

Struktura agrarna Bułgarii opierała się na drobnych (do 1 ha — 17%) małych (od 1 do 4 ha — 47,8%) i średnich (od 4 do 8 ha — 26%) gospodarkach chłopskich, one bowiem razem stanowiły 90,8% wszystkich gospodarstw rolnych i zajmowały 54,8% ogólnej powierzchni uprawnej. Około 40% z tych podstawowych gospodarstw dla struktury rolnej przedwojennej Bułgarii ziemię dzierżawiło od gospodarstw większych albo za zapłatą w pieniądzach, albo w naturze czy też w odpłacie odróbkowej.

Proces rozdrabniania ziemi był w Bułgarii bardzo wyraźny. Dotyczy to grup podstawowych dla ustroju rolnego tego kraju, które były nadmiernie obciążone długami i przez sprzedaż części swego małego obszaru ratować się musiały od ekonomicznej zagłady. Jednocześnie jednak zjawisku temu towarzyszył proces pomnażania powierzchni gospodarstw wielkowłościańskich i majątków obszarniczych. Te ostatnie w okresie od 1926 roku do 1934 r. wykazują wzrost przeciętnej powierzchni ziemi z 73,5 ha na 87,9 ha. Powszechnie stosowany był średniowieczny system dwupolówki, nawozy sztuczne były na wsi bułgarskiej rzeczą niemal nieznaną a maszynizacja rolnictwa i zastosowanie do pracy na roli zdobyczy techniki i wiedzy stały na punkcie prawie zerowym. Te przyczyny postawiły Bułgarię w dziedzinie produkcji rolnej na jednym z zupełnie ostatnich miejsc wśród państw europejskich.

Kryzys w rolnictwie powodował szczególnie ciężką sytuację chłopów. Była to sytuacja biedoty obciążonej nadmiernie zobowiązaniami dłużnymi. W roku 1922 obliczono zadłużenie rolnictwa bułgarskiego na 13,5 miliardów lewów. Z tej kwoty znacznie więcej niż połowa, bo 8 miliardów lewów przypadało na zobowiązania chłopów wobec lichwiarzy, firm pośrednictwa handlowego i prywatnych banków. Przykręcanie śruby podatkowej i wzrost obciążeń zadłużeniowych pauperyzuje chłopa bułgarskiego coraz silniej. Około 1,2 miliona zbędnych na wsi było jeszcze jednym z wielu ciężarów rolnictwa.

Przeprowadzana w latach międzywojennych reforma rolna objęła w okresie 11 lat (1922—1932) tylko 285.000 ha ziemi, z których 220.000 ha było sprzedane ludności wiejskiej wg cen z roku 1905—1915 ze zwyżką 20%-ową. Spłaty były rozłożone na 30—50 lat. Wobec tego jednak, że reforma ta była wykonana zaledwie w części i budziła zasadnicze zastrzeżenia wobec nie zawsze właściwych kryteriów przy nadawaniu ziemi, nie przyniosła ona w efekcie żadnych specjalnie korzystnych zmian w bytowaniu wsi bułgarskiej.

Okres okupacji niemieckiej był okresem generalnego rabunku gospodarki bułgarskiej. Rząd renegatów postanowił, że każde gospodarstwo chłopskie o obszarze do 3 ha ziemi może zatrzymać na swój użytek tylko 175 kg ziarna na cały rok. A było takich gospodarstw w Bułgarii 40,2%. Dla gospodarstw większych od 3 do 6 ha (31,1% ogólnej ilości gospodarstw) ustalono normę 1080 kg ziarna, która miała zaspokoić całoroczne potrzeby gospodarcze. Rolnik musiał sprzedawać płody rolne po niskich cenach rządowi, a więc praktycznie Niemcom. Cyfry mówią wyraźnie o tej grabieży. Pomijając artykuły przemysłowe i surowce przemysłowe Niemcy w okresie 1941—1944 wywieźli z Bułgarii m. in.: 4900 ton mięsa i przetworów mięsnych, 128.000 ton tytoniu, 265.000 ton owoców, 376.000 ton ziarna, 4,4 milionów sztuk owiec, 3,1 milionów sztuk trzody chlewnej, 765.000 sztuk ptactwa domowego, 130 milionów jaj. To tylko cyfry wywozu i to wywozu oficjalnego. Do tego dodać trzeba znane metody grabieżców hitlerowskich i fakt, że na swój własny użytek dla swoich wojsk i urzędów, stacjonujących w Bułgarii, okupant zabrał 1.700 ton wieprzowiny, 466 milionów jaj, 323.000 sztuk drobiu, 197.000 ton przetworów owocowych, 75.000 ton świeżych owoców itp.

Obszar ziemi ornej przeznaczonej na uprawy zbożowe zmniejszył się, ale i zmniejszył się przeciętny zbiór z 1 ha zbóż, paszy, kartofli itp., co stanowiło naturalną konsekwencję rabunkowej gospodarki i pogłębiającej się ekonomicznej nędzy chłopa bułgarskiego. W ślad za tym przychodzi spadek ilości pogłowia bydlęcego, trzody chlewnej i drobiu. Brak dostatecznej ilości paszy daje w skutkach zmniejszenie przeciętnej wagi sztuki rzeźnej oraz spadek w produkcji mięsa, mleka, jaj, włosia itp.

Gospodarka rolna Bułgarii cofnęła się w wyniku takiej sytuacji do poziomu gospodarki pierwotnej. Rozdrobnienie ziemi, ekstensywny charakter pracy na roli, zmniejsza stopień produktywności i powoduje katastrofalną zniżkę w ilości towarów dostarczanych przez wieś. Stąd też gospodarstwa o obszarze poniżej 5 ha nie miały nic do sprzedania, a stanowiły one około 70% ogólnej ilości gospodarstw rolniczych Bułgarii. Nie mogły te gospodarstwa niczego sprzedać, a w konsekwencji nie miały pieniędzy na zakup choćby narzędzi koniecznych do uprawy, nie mówiąc już o innych równie koniecznych dla bytowania na wsi zakupach. Stan ten odbijał się w sposób ujemny na całości życia gospodarczego kraju, trzeba bowiem pamiętać, że 80% ludności bułgarskiej stanowi ludność utrzymująca się z pracy na roli, a jedynie 10% pracowało w przemyśle i drugie 10% w innych zawodach.

Bułgaria wyzwolona przynosi zasadnicze zmiany polityczne, społeczne i gospodarcze. W Bułgarii rolnictwo przemiany te odczuwa najsilniej. Trzeba pamiętać, że struktura rolna Bułgarii była odmienna od wielu europejskich krajów rolniczych. W latach przedwojennych Bułgaria miała tylko 561 gospodarstw o powierzchni ponad 50 ha. Zajmowały one ogółem tylko 69 tysięcy ha ziemi. Obliczono, że kraj ten ma 340.000 bezrolnych i małorolnych. Parcelacja majątków ziemskich nie mogła przeto zaspokoić tych potrzeb. Trzeba było sięgnąć po inne rozwiązanie. Dlatego na bułgarski Fundusz Ziemi utworzony przez Front Ojczyźniany złożyły się m. in. następujące pozycje powierzchniowe:

1) te części każdego gospodarstwa, które stanowią nadwyżkę ponad ustawowe maximum 20 ha,

2) ziemia (wzwyż od 3 ha), znajdująca się w rękach tych, którzy jej nie obrabiają i na niej nie pracują,

3) powierzchnia leśna,

4) ziemia cerkiewna i klasztorna,

5) obszary użytkowe, zdobyte przez meliorację, osuszanie błot itp.

W ten sposób Fundusz Ziemi mógłby dysponować powierzchnią 530.000 ha ziemi, przeznaczonej dla bezrolnych i małorolnych. Szczupłe możliwości w tym zakresie nie pozwoliły rozładować w sposób zadawalający kryzysu struktury agrarnej powojennej w Bułgarii. Z uwagi za tym na zupełnie specjalne warunki, w jakich rolnictwo tego kraju znajduje się, a przede wszystkim ze względu na nadmierne i szkodliwe z punktu widzenia ekonomicznego rozdrobnienie gruntów i wobec ubogiego zasobu ziemi stojącej do dyspozycji akcji nadaniowej, Rząd Frontu Ojczyźnianego postanowił wprowadzić zasadę uspołecznionej produkcji dla drobnych gospodarstw rolniczych.

Rzecz ta w Bułgarii ma swoją tradycję. W wielu wsiach powoływali sami rolnicy do życia instytucję wspólnego gospodarowania na swych gruntach. Ten kolektywny system był materialną obroną rolnika bułgarskiego przed spekulantami, miejscowymi sklepikarzami i przed wyzyskiem wielkorolnego chłopa. Spółdzielcze gospodarowanie dawało mimo wielkich trudności i przeszkód znacznie pomyślniejsze w warunkach bułgarskich wyniki, niż ściśle indywidualna gospodarka małorolnych chłopów. Dlatego też z uwagi na praktyczną przydatność takiej formy pracy na roli, system ten zyskiwał uznanie w coraz liczniejszych okręgach Bułgarii. W roku 1944 takich spółdzielni gospodarczych było 42. Obejmowały one we wrześniu 1944 r. około 1700 zagród chłopskich o łącznej powierzchni 6700 ha ziemi. Uczestniczyły zatem w tych spółdzielczych gospodarstwa o przeciętnej powierzchni 4 ha. W jesieni ub. roku spółdzielczy system gospodarowania objął już 43.400 zagród o łącznej powierzchni 193.000 ha.

W/g ustawy o roboczych spółdzielniach gospodarstw wiejskich, spółdzielnia taka powstaje wówczas, jeżeli co najmniej 15 właścicieli drobnych gospodarstw rolnych zgłosi akces do wspólnej pracy. Członkostwo spółdzielni oparte jest na zasadach dobrowolności. Przyjęcie i wykluczenie jest dokonywane przez walne zgromadzenie członków. Wszyscy członkowie roboczych spółdzielni gospodarstw wiejskich obowiązani są przekazać do wspólnego użytkowania swoją ziemię oraz inwentarz żywy i martwy. Za zgodą walnego zgromadzenia każdy z członków spółdzielni może zachować na swój indywidualny użytek potrzebne minimum ziemi. Spółdzielcy ci zachowują prawo do własności na konkretnym obszarze ziemi i otrzymują na to zabezpieczenie hipoteczne. Udział ten może być sprzedany przez członka takiej spółdzielni w całości lub w części. Osoby, występujące ze spółdzielni, otrzymują ze spółdzielczego funduszu ziemi swój odpowiedni udział. Rozliczenia dokonywane są corocznie i czysty dochód spółdzielni dzielony jest pomiędzy jej członków. Nadto członkom, którzy wnieśli do spółdzielni jako udział — ziemię, wypłacana jest tenuta dzierżawna w wysokości ustalonej przez walne zgromadzenie spółdzielni. Na okres trzech najbliższych lat robocze spółdzielnie gospodarstw rolniczych są wolne od wszystkich podatków. Spółdzielnie korzystają z poważnych kredytów bankowych, udzielanych im na dogodnych warunkach przez Bułgarski Bank Rolnictwa i Spółdzielczości.

W Bułgarii przeprowadzana jest zasada, że ziemia należy do tego, kto ją uprawia. 12 marca 1946 r. parlament bułgarski uchwalił ustawę o „roboczej własności ziemi". W myśl tej ustawy nie wolno nikomu posiadać na własność więcej ziemi niż 20 ha z wyjątkiem południowej Dobrudży, gdzie obowiązuje maksymalna granica 30 ha. Osoby, które same nie obrabiają ziemi, mają prawo otrzymać tylko 5 ha ziemi. Podział obszaru gospodarstwa rolnego poniżej ustalonego minimum jest niemożliwy, ponieważ albo gospodarstwo, przed którym stoi konieczność podziału, zostaje sprzedane państwowemu funduszowi ziemi, albo staje się gospodarstwem spółdzielczym. Ziemia wywłaszczona, spłacana jest obligacjami państwowego funduszu ziemi, oprocentowanego na 3%.

Ustawa o reformie rolnej w Bułgarii licząc się ze specyficznymi warunkami miejscowymi ustanawia zasadnicze dwa typy gospodarstw: a) indywidualne, oparte na pracy właściciela i jego rodziny oraz b) spółdzielcze, oparte na pracy zespołowej.

Obszar dla roboczego gospodarstwa rolnego stanowi dla całego kraju normę ustawową i wynosi przy nadaniach 5 ha ziemi z wyjątkiem południowej Dobrudży, gdzie norma ta podniesiona jest do 8 ha. Rodziny chłopskie, obarczone licznymi dziećmi otrzymują na każde trzecie i następne dziecko po 1 ha ziemi dodatkowo ponad normę. Drobni rzemieślnicy, robotnicy rolni, samorządowi itp. mają prawo otrzymać przydział ziemi w granicach do 50% ustawowej normy powierzchni. Za ziemię przydzieloną rolnicy płacą państwu cenę ziemi z roku 1935 pomnożoną przez 6. Spłata jest rozłożona na 20 lat, przyczym przy obejmowaniu ziemi wpłata wynosi 5% ogólnej ceny, reszta zaś jest rozłożona równomiernie na poszczególne lata. Inwalidzi wojny wyzwoleńczej oraz ich wdowy i sieroty korzystają ze zniżki 50%, a członkowie roboczych spółdzielni gospodarstwa wiejskiego — 40%. Ziemia przydzielana jest wraz z pełnym tytułem własności.

W chwili obecnej ustawa ta w Bułgarii jest wykonywana w całej rozciągłości i przewiduje się zakończenie akcji, przepisanej jej postanowieniami, na koniec bieżącego roku. W/g danych z grudnia 1946 r. parcelacja objęła wówczas 48 ośrodków, szczególnie ostro przeżywających kryzys agrarny. Państwowy fundusz ziemi nadał wtedy 100.000 ha ziemi. Kończy się parcelacja w Dobrudży, gdzie przez wywłaszczenie nadwyżek gruntowych uzyskano 83.500 ha ziemi.

Są to pierwsze etapy reformy rolnej. Po parcelacji należy się liczyć z bardzo wyraźnym przestawieniem systemu produkcji i zmianą rodzajów uprawy. Łączy się to z koniecznym rozwojem przemysłu krajowego, który musi nastawić się nie tylko na zaspakajanie rosnących potrzeb rolnictwa w zakresie maszyn, narzędzi, nawozów sztucznych itp. ale musi przygotować się do racjonalnego przetwórstwa płodów rolno-hodowlanych.

Wiktor Woroszylski

Przedstawienie „Burzy" Szekspira w Teatrze Wojska Polskiego w Łodzi

I. BAŚŃ O MĄDRYM PROSPERZE

Prospero, książę Mediolanu, zagłębiony w badaniach naukowych, powierzył ster państwa swemu młodszemu bratu, Antonio. Ten, powodowany nadmierną pychą i ambicją, dokonał przy pomocy króla Neapolu, Alonza, zamachu stanu i zagarnął tron, Prospera zaś z kilkuletnią córką kazał sługom umieścić w łódce i puścić na pełne morze. Ojciec z dzieckiem uratowali się dzięki temu, że jeden z dworzan Alonza, Gonzalo, dał im na drogę żywność, wodę, różne sprzęty i wydobyte z książęcej biblioteki czarodziejskie księgi. To wszystko pomogło im przetrwać na morzu aż do chwili przybycia na bezludną wyspę, gdzie odtąd zamieszkali.

Powyższych perypetii, stanowiących zawiązek akcji szekspirowskiej „Burzy", widzowie nie oglądają na scenie. Opowiada o nich Prospero swojej dorosłej już córce, pięknej Mirandzie.

Dramatyczny zaś punkt wyjścia jest inny: burza na morzu — na okręcie, wiozącym nieznanych nam jeszcze dostojników, wybucha panika... Okręt tonie.

W następnej scenie ma właśnie miejsce wyżej przytoczona rozmowa Prospera z Mirandą, zakończona wyjaśnieniem, że statek, który przed chwilą zatonął u brzegów wyspy, wiózł prosperowych wrogów: wiarołomnego Antonia i Alonza z dworem.

Już od pierwszych chwil, gdy Prospero pojawia się na scenie, zdajemy sobie sprawę, że stoi przed nami mędrzec i czarnoksiężnik. Inscenizacja, obficie operująca wszelkiego rodzaju bajkowymi rekwizytami, jak stylizowana luneta, różdżka, płaszcz pokryty zagadkowymi wzorami, nie pozostawia w tym kierunku żadnych wątpliwości. Nie dziwi zatem wyrażone w rozmowie przekonanie Mirandy, że to jej ojciec spowodował burzę i katastrofę statku.

Od tej chwili, aż do końca nie zostanie pominięta ani jedna okazja pokazania cudownych umiejętności wywłaszczonego księcia. Za pomocą tych umiejętności będą stwarzane i rozwiązywane sytuacje tak dramatyczne jak komiczne, wiedza tajemna zbuduje kościec akcji i będzie motywem, wygranym do ostatecznych możliwości. Pod magię będą zresztą podciągnięte również posunięcia Prospera, oparte na zjawiskach, umotywowanych dziś przez naukę: na przykład pod koniec owej ważkiej rozmowy, stanowiącej niezbędne tło dla zrozumienia dalszych wydarzeń, czarodziej hipnotyzuje córkę i usypia ją, aby nie była świadkiem jego spotkania z podległym mu duchem, Arielem.

Ariel przybywa na wezwanie swego pana, ażeby złożyć sprawozdanie z wykonanych czynności. Tu zostaje uchylona następna zasłona z zagadkowej tragedii, która rozegrała się na początku — i jednocześnie z dalszych wydarzeń, których bieg jest przez przenikliwego Prospera nie tylko przewidywany, ale w dużej mierze inspirowany. Intryga nie zawiązuje się w „Burzy", jak w większości komedii, przez konflikt różnych przeciwstawnych sobie dążeń i splot nieporozumień, lecz jest wynikiem świadomego zamiaru czarnoksiężnika, umiejącego nią kierować, aby w końcu doprowadzić do sobie tylko wiadomego celu. A więc okazuje się, że domniemana burza była wykonanym na rozkaz księcia dziełem Ariela. Domniemana — bowiem, jak ze sprawozdania ducha wynika, burza i zguba okrętu były złudzeniem. Ariel przeniósł pasażerów na wyspę, gdzie ich rozprószył na grupy, okręt zaś z marynarzami ukrył w bezpiecznej zatoce. Prospero wydaje następny rozkaz: duch ma zamienić się w nimfę i zwabić Ferdynanda, syna króla Alonza, przed chatkę czarnoksiężnika.

W tym miejscu należy się zatrzymać nad mechanizmem pojawiania się i znikania Ariela, a przed tym jeszcze — na dekoracjach. Zadanie dekoratora w „Burzy", jak zresztą w ogóle w sztukach Szekspira, niezbyt hołdującego zasadom jedności akcji, czasu i miejsca, nie należy do najłatwiejszych. W „Burzy" po scenie na okręcie akcja odbywa się w różnych stronach wyspy, następuje częsta i szybka zmiana miejsca: po scenie przed chatką Prospera odbywa się scena w okolicy, gdzie Ariel umieścił króla Alonza z dworzanami, później w lesie, z powrotem przed chatką Prospera itd. Łatwiejsze do zrealizowania byłoby to może na scenie obrotowej. Niestety, łódzki Państwowy Teatr Wojska Polskiego, gdzie Leon Schiller wystawił „Burzę", takiej sceny nie posiada. Co uczynić, by nie rozbić jedności sztuki?

Poradzono sobie w ten sposób, że stworzono pewien niezmienny jak gdyby szkielet dekoracji, do którego w różnych scenach dobu-



Kaliban, Trinkulo i Stefano. Scena z obrazu 4-go. Widoczna dekoracja Wł. Daszewskiego.

dowywano niektóre zmienne elementy. Do owych niezmiennych dekoracji należała stylizowana piękna średniowieczna mapa, umieszczona na tylnym planie — na tle mapy tej odegrano zarówno scenę rozbicia okrętu, jak wszystkie przygody na wyspie — oraz dwa szerokie słupy po bokach, połączone pomostem nieco nad wysokością człowieka. Zależnie od miejsca akcji dochodzi tu jeszcze chata Prospera z budą Kalibana, egzotyczne pnącza lasu albo skały wybrzeża.

Ariel zjawia się zawsze na pomoście. Pomost jest konstrukcją najwyraźniej konwencjonalną i schematyczną — zgodnie z milczącą umową traktuje się go nie jako rzeczywisty materialny pomost, wybudowany przez kogoś na bezludnej wyspie, ale jako coś nieistniejącego, powietrze, w którym kołyszą się duchy bezcielesne, a jednocześnie jako niezbędne ramy nieprawdziwego obrazu. Odpowiednio do tego pojawienie Ariela zaaranżowane jest z największą prostotą: najzwyczajniej posuwa się on po pomoście lekkim, tanecznym krokiem; wyraźnie widzimy też jego twarz i figurę — to nie jest jakaś ucieleśniona, szeleszcząca gazą abstrakcja, ale kobieta z krwi i kości — pełna uroku Ryszarda Hanin. Takie ujęcie jest nie tylko bliższe duchowi elżbietańskiego teatru, ale żywiej, jak się wydaje, działa na widza.

Przeciwieństwem pięknej i wzniosłej postaci czystego ducha Ariela jest Kaliban, potwór, o którego istnieniu słyszymy jeszcze w rozmowie Prospera z duchem, i który w chwilę później ukazuje się na scenie.

Kaliban w świetnej kreacji Leona Pietraszkiewicza to odziany w rybią łuskę człowiek o dzikiej twarzy, zmierzwionych włosach i ogromnych brunatnych stopach, podobny do glinianego bałwana — Golema z fantastycznej powieści Meyrinka. Mówi donośnym ochrypłym głosem, patrzy spode łba, rusza się ociężale i niezgrabnie. Kaliban jest synem zmarłej na wyspie czarownicy; serdecznie nienawidzi Prospera, któremu musi służyć i spełniać najcięższą robotę.



Kaliban w kreacji Leona Pietraszkiewicza. Scena z obrazu 4-go.

Pierwsze pojawienie się Kalibana na scenie nosi charakter ekspozycyjny: nic się nie dzieje, za wyjątkiem pełnej obelg i przekleństw „rozmowy", której zadaniem, jak i poprzednich rozmów z Mirandą czy Arielem, jest uzasadnienie obecnego stanu rzeczy i położenie logicznych podwalin pod właściwą akcję. Dowiadujemy się zatem, że niegdyś stosunki między Prosperem a Kalibanem oparte były na wzajemnej sympatii i równości, Prospero uczył dzikiego potwora mowy ludzkiej, ten zaś wskazywał mu własności wyspy, jej źródła, żyzne grunty itd. Pewnego razu jednak usiłował Kaliban targnąć się na cnotę Mirandy. Za karę Prospero uczynił go niewolnikiem. Kaliban nieraz się opiera, nie chce ciężko pracować, wtedy książę zmusza go do posłuszeństwa... znowu za pomocą magii.

Do tego miejsca więcej było wydarzeń pozascenicznych, oddanych za pośrednictwem narracji bohaterów, niż jakichkolwiek innych. Właściwa akcja zaczyna się, kiedy Kaliban udaje się po drzewa na rozkaz Prospera, na scenie zaś, prowadzony przez grającego i śpiewającego Ariela, zjawia się Ferdynand, syn neapolitańskiego króla, Alonza. Chwytamy nić pierwszego wątku: akcji miłosnej „Burzy". Ferdynand i Miranda od pierwszego wejrzenia przypadają sobie do serca. Leży to, jak widać, w planach Prospera, nie daje on jednak poznać po sobie zadowolenia, lecz traktuje młodzieńca brutalnie i bierze go do niewoli, każąc spełniać równie ciężkie posługi, jak Kalibanowi. Na tym kończy się akt pierwszy. W dalszym ciągu sztuki okazuje się, że praca miała być próbą, którą mędrzec wyznaczył królewiczowi, ów szczęśliwie przez próbę przeszedł i w nagrodę uzyskał rękę pięknej Mirandy.

Drugim wątkiem są przygody na wyspie króla Alonza z dworzanami — to dalszy ciąg walki o władzę. Wiarołomny Antonio namawia królewskiego brata, Sebastiana, do zamordowania króla: następca tronu, Ferdynand, zapewne utonął, więc on, Sebastian, zostanie monarchą. Plany te krzyżuje wysłany przez Prospera Ariel, on też przypomina Alonzowi, Antoniowi i Sebastianowi ich zbrodnię, popełnioną na księciu Prosperze i doradza żal serdeczny. Nękają ich przy tym różne dziwne zjawiska, jak np. niezwykłe postacie, które przynoszą żywność i zabierają ją z powrotem, nie pozwalając się posilić zgłodniałym rozbitkom. To wszystko działa na psychikę winowajców, okazują żal i skruchę i wtedy — już w ostatnich scenach — Ariel prowadzi ich przed chatę Prospera, gdzie następuje ogólne pojednanie się i przebaczenie grzechów.

Wreszcie trzeci wątek — to dzieje Kalibana, który przy pomocy dwóch dworzan królewskich — piwniczego Stefana i trefnisia Trynkula, pragnął zemścić się na znienawidzonym Prosperze, ale i jego mordercze zamiary oczywiście nie doszły do skutku (czary!), i on wreszcie pod koniec wyraził skruchę, uzyskując przebaczenie Prospera.

W ten sposób mądry i wspaniałomyślny Prospero, przeciwstawiając się światu, który pozbawił go tronu, wypędził na bezludną wyspę i czyhał na jego życie, — siłą ducha oraz umysłu zniweczył wrogie zamysły. Prospero wraca jako zwycięzca do ojczyzny, świat odzyskuje harmonię, prawo i sprawiedliwość spowrotem w nim zapanowały. The happy end?...

II. FANTAZJA I RZECZYWISTOŚĆ

Recenzenci „Burzy" jednogłośnie niemal uznali ją za widowisko fantastyczne. Jakaś wyspa, gdzie się dzieją rzeczy niezwykłe, przebywają istoty nierealne, duchy i potwory, gdzie ludzie, sami nie wiedząc o tym, postępują w myśl życzeń czarnoksiężnika, charaktery i zamiary zmieniają się na skinienie różdżki czarodziejskiej... Jak inaczej to nazwać, jeśli nie fantazją!

Ale czym się tłumaczy, że owa fantazja z epoki renesansu przemawia dziś do nas, dlaczego współczesny widz wzrusza się scenami, oklaskiwanymi trzysta kilkadziesiąt lat temu przez bywalców londyńskich teatrów The Globe i Blackfriars?

Idealistyczna krytyka usiłowała i usiłuje interpretować twórczość Szekspira jako ponadczasową i ponadklasową, odzwierciadlającą uczucia i przeżycia właściwe w ogóle człowiekowi. Materialistyczne literaturoznawstwo widzi w dziełach Szekspira, jak zresztą każdego innego wielkiego twórcy, przede wszystkim pomniki epoki. Siła Szekspira polega w tej interpretacji na wielostronnym, plastycznym i głębokim ujęciu współczesnej mu rzeczywistości. Obrazy Szekspira są obrazami wieku, zdarzenia — etapami dziejów, przeżycia i myśli bohaterów stanowią uogólnienie uczuć i myśli klas całych, postępowanie ich ma wydźwięk s p o ł e c z n y.

Zadaniem reżysera powinno być wydobycie na powierzchnię głównych nurtów epoki, pokazanie konfliktu namiętności jako konfliktu społecznego, uzasadnienie ideologii przez historię. Wtedy dopiero sztuka Szekspira może stać się dla nowych odbiorców kultury czymś więcej, niż fikcją psychologiczną, zabić żywym tętnem choć odległej, ale przecież rzeczywistości.

Cała dotychczasowa działalność Schillera i Daszewskiego świadczy, że są oni zwolennikami tego poglądu. I w „Burzy" wiele akcentów rozłożono w ten właśnie sposób. Owa wspomniana wyżej mapa, nie znikająca ani przez chwilę ze sceny, jest świetnym symbolem, skrótem myślowym, nie pozwalającym zapomnieć o umiejscowieniu komedii w czasie i przestrzeni. Doskonałe, prawdziwe psychologicznie i historycznie są postacie Alonza (Węgrzyn), Antonia i Sebastiana, których każde słowo, każdy ruch jest uzasadniony jednym z zasadniczych n i e f a n t a s t y c z n y c h konfliktów sztuki — walką o władzę w ściśle określonych przez ustrój feudalny warunkach.

Są jednak inne zagadnienia sztuki, potraktowane przez inscenizatora mniej konsekwentnie. Ciekawszym niewątpliwie od walki o tron elementem treściowym „Burzy" jest pobyt i panowanie Prospera na wyspie oraz jego stosunek do Ariela i Kalibana. Szekspir wyraźnie darzy sympatią mądrego Prospera, za jego przykładem czyni to również Schiller.

Zastanówmy się, wolni od sugestii scenicznych reflektorów, kim są właściwie Prospero i Kaliban?



Izis, Juno i Ceres. Scena z obrazu 9-go.

Szekspir tworzy w chwili, gdy w Anglii szybko kroczy naprzód rozwój wczesnego kapitalizmu i rozwija się przezeń uwarunkowany kryzys feudalnej kultury. Zagadnienie równości stanów jednakowo ostro stoi wówczas przed mieszczaństwem, jak i arystokracją. Gospodarcza potęga przechodziła w dłonie mieszczaństwa, przywileje polityczne zatrzymywała szlachta. Mieszczanin, ośmielony coraz głośniejszym brzękiem złota w sakwach, żądał równości politycznej. Arystokracja sprzeciwiała się. Spór ten rozwiązała po części w pół wieku później purytańska rewolucja. Jednocześnie plebejusz-kolonizator w zdobytych krainach zaczął się stykać z dzikimi tubylcami — oczywiście i tym stosunkom daleko było do jakiejkolwiek równości.

Na tym gruncie niejako na „zamówienie społeczne" powstał obraz Kalibana — symbol ludzkiej nierówności, wynikającej rzekomo nie ze społeczno-gospodarczych, ale biologicznych i fizjologicznych przyczyn. W oczach arystokracji Kaliban jest upostaciowaną czernią, plebsem; w oczach bourgeois — Kaliban to kolonialny dzikus.

Aluzje do takiego pojmowania potwora znajdujemy u Szekspira: po pierwsze samo imię Kalibana jest anagramen kanibala (ludożercy). W tekście „Burzy" jako miejsce akcji są wspomniane Bermudy, a więc w tych latach odkryte egzotyczne wyspy, — znowu wzmocniony jest pierwiastek realności. Bóstwo, które czci Kaliban, Setebos, zostało opisane przez Magellana, który parędziesiąt lat przed powstaniem „Burzy" podróżował po Patagonii.

Fantastyka tej postaci coraz bardziej znika. Kaliban nie jest monstrum z rybim ogonem, jakim niegdyś chcieli go widzieć niektórzy inscenizatorzy, ale c z ł o w i e k i e m — człowiekiem uciskanym, dodajmy.

A Prospero? Czy to nie o nim pisał niegdyś Engels, omawiając powstawanie w Anglii nowej warstwy społecznej szlachty, parającej się handlem i żeglarstwem, wrastającej w mieszczaństwo, kierującej się już nie tyle nieokrzesanymi namiętnościami, ile chłodnym rozumem:

„...ich zwyczaje i dążności były znacznie bardziej burżuazyjne niż feudalne. Znali oni doskonale wartość pieniędzy i zabrali się odrazu do podwyższania swej renty gruntowej, rugując w tym celu setki drobnych dzierżawców..." („O materiaĺiźmie historycznym", K. Marks „Dzieła wybrane", Książka 1947, str. 415). Prospero również świetnie zdaje sobie sprawę z wartości produktów pracy ludzkiej. Wyzyskując Ariela i Kalibana, ma zawsze gotowe obliczenie w rodzaju: „dwanaście lat siedziałbyś w sośnie, ja cię wyzwoliłem, zrób to i to". U Kalibana wyłudza najpierw dobrocią wszelkie pożyteczne wiadomości i umiejętności, a później, niby fachowy kolonizator, czyni „tubylca" swoim niewolnikiem, któremu każe ciężko pracować, torturując go w dodatku (ciekawe, że kary zawsze są wymierzone z iście handlarską ścisłością — „za to przekleństwo spędzisz tę noc w kurczach, pijawki cię obsiędą i tak gęste porobią cięcia, jak komórki w ulu; a każde cięcie bardziej boleć będzie, niż ukąszenie pszczół, co je budują" — nieomal odczuwa się w dekoracji tych scen brak księgi buchalteryjnej i liczydła). Cóż dziwnego, że wbrew wysiłkom zespołu Państwowego Teatru Wojska Polskiego, oglądający „Burzę" widz odczuwał głębokie przekonanie, iż targnięcie się żyjącego prymitywnymi odruchami Kanibala na cnotę Mirandy stało się dla Prospera jedynie pretekstem całego dalszego postępowania względem dzikusa. Istniały, mam wrażenie, dwa wyjścia z sytuacji przy interpretowaniu konfliktu Prospero — Kaliban: albo zredukowanie do minimum scen pastwienia się Prospera nad Kalibanem i lichwiarskich obrachunków z Arielem, — w tym wypadku udałoby się może narzucić publiczności przekonanie, że Prospero jest władcą światłym i sprawiedliwym, godnym tytułu księcia Mediolanu nie tylko z racji pochodzenia, albo też przedstawienie Prospera we właściwym świetle i całkowita rehabilitacja Kalibana, uzyskana m. in. przez usunięcie nużących i niesmacznych scen błazeńskich, — wtedy nie pozostałoby miejsca na pozorny happy end, podczas którego Prospero tuli do siebie pokonanego Kalibana, łaskawie mu wybaczając, — wydobyłby się zaś na powierzchnię prawdziwy tragiczny nurt „Burzy". Nurt zupełnie realny, ani trochę nie fantastyczny.

Jest jeszcze jedna scena o silnym realistycznym wydźwięku społecznym, potraktowana przez Schillera niezbyt właściwie, jak się zdaje. Niedługo po rozbiciu okrętu błądzi po wyspie zrozpaczony król Alonzo z grupą dworzan, wśród których znajduje się staruszek Gonzalo, ten sam, który niegdyś uratował Prospera. W pewnej chwili Gonzalo zaczyna fantazjować na temat „gdybym był królem":

„Ład bym zaprowadził, odwracając cały rzeczy porządek.
Handlu by nie było, ani bogactwa, ani też ubóstwa.
Zniósłbym poddaństwo, własność i dziedzictwo,
granice włości i wszelkie podatki.
Kruszec dobywać z ziemi bym zakazał..."

W tych pięknych słowach dźwięczą wyraźne echa „Utopii" Tomasza Morusa.

Jak wielkie jest rozczarowanie widza, gdy po chwili i na przestrzeni całej dalszej akcji okazuje się, że Gonzalo jest starym gadatliwym głuptakiem, który pod koniec nie pamięta od czego zaczął. Nie dziwmy się dworakowi króla Jakuba (cała trupa Burbage'a z Szekspirem na czele nosiła w owym czasie królewską liberię), że umieszczając w sztuce tak światoburczą tyradę, postarał się ją zawoalować manifestacją, iż nie traktuje poważnie głosiciela tego rodzaju ideologii. Była to nieunikniona wówczas ostrożność. Reżyser zamiast przywrócić głosicielowi rewolucyjnej idei właściwe proporcje, pozwolić mocno zabrzmieć przetransportowanym na język poezji słowom prekursora socjalizmu, pogłębił akcenty nie tylko groteskowe, ale wręcz antypatyczne (lizusostwo). Rezultatem tego była nieciekawa postać w nieprzekonywującej sytuacji. Tak zaprzepaszczono jeszcze jeden nurt społecznej rzeczywistości w „Burzy".

Można wiele pisać o łódzkim wystawieniu „Burzy" — było to wraz z poruszonymi mankamentami widowisko nieprzeciętne. Imponowała praca, którą musiał w to włożyć reżyser i dekorator, aktorzy wszyscy prawie okazali się na poziomie. Słusznie przyznano nagrody festivalowe!

Nie od rzeczy będzie też wspomnieć o ilustracji muzycznej Kiesenwettera, Raczkowskiego i Wiłkomirskiego, opartej na motywach elżbietańskich. Muzyka ta stanowiła świetne przejście między odsłonami i dyskretnie podkreślała renesansowy nastrój przedstawienia.

Wiktor Woroszylski.

Franciszek Kotula

PRZYDROŻNA SZTUKA

Z ust wielu entuzjastów sztuki ludowej często słyszy się zdanie, że nie można dzielić sztuki na inteligencką i ludową, że sztuka jest jedna a są tylko różne jej stopnie rozwoju, etapy technicznej doskonałości. Czy nie mylą się? — czy między sztuką ludową a inteligencką nie ma różnicy zasadniczej? Przecież sztuka inteligencka jest realizacją pewnych założeń estetycznych, formalnych, pewnych koncepcyj, które mają znów związek z innymi dziedzinami życia. Tymczasem sztuka ludowa jest par excelence utylitarną bezpośrednią, ma więc bardzo wiele stycznych ze sztuką najpierwotniejszą, powiedziałbym nawet, jest dalszym jej ciągiem.



Opłakiwanie Chrystusa — rzeźba z kaplicy (żołnierze w mundurach austriackich XVIII — XIX w.). Fot. Kusy Antoni.

Wiele rozważań wysnuto na temat rysunków ludzi jaskiniowych. Niektórzy badacze doszli do wniosku, że są one symbolami magicznymi, czyli, że miały cel wybitnie utylitarny: były zaklęciem czy życzeniem, aby rysującemu udały się łowy tj. zdobycie pożywienia.

Pobróbujmy poprzez to szkiełko popatrzeć na sztukę ludową. W najbardziej charakterystycznych i najwybitniejszych swoich przejawach nie ma ona nic wspólnego z jakąkolwiek spekulacją, jest właśnie wybitnie utylitarną. Bo czemże są w swej istocie kapliczki, figury czy pasyjki, jeśli nie pewnego rodzaju magicznymi symbolami, mającymi na celu albo przebłagać Pana Boga za przewiny, ustrzec przed niebezpieczeństwem, uprosić błogosławieństwo, albo wreszcie podziękować za coś? Czy nie są one symbolami, podobnymi do rysunków na ścianach jaskiń wyrytych?

Garncarz zdobi płaszczyznę gliny. Ale ta glina w swej istocie jest miską lub garnkiem, w których gotuje się jedzenie lub się zeń je. Czy my dzisiaj wiemy, co znaczą a raczej co znaczyły wymalowane na miskach ptaszki, listki, linie lub kropki?

Jakieś tam warsztaty czy spółdzielnie koronkarskie na wsi, to już nie sztuka, to przemysł. Kto dziś na wsi, już nie przy łuczywie a przy lampie elektrycznej i nie na cienkim, bawełnianym, ale na grubym, zgrzebnym płótnie haftuje mozolnie subtelne wzoreczki, aby było ładnie ubrać się w niedzielę do kościoła? — kiedy przecież można kupić szmatki tak bajecznie kolorowe, że oczy rwią!

A muzyka? — pieśń ludowa? — te tylko miały prawo obywatelstwa, które służyły do tańca. Zaś czym był taniec w swej pierwotnej formie?

Od czasu I-ej wojny światowej na wsi naszej zaszły wielkie zmiany. Tak na terenie kultury materialnej, jak i duchowej. Współczesna cywilizacja o międzynarodowym charakterze opanowuje wieś polską coraz szybciej i coraz gruntowniej. A jest rzeczą wiadomą, że neofici z nowej dla nich dziedziny najczęściej biorą to, co jest najmniej wartościowe, często wręcz ujemne. To jest naturalny bieg rzeczy.

Jeszcze nie tak dawno rzeszowska dziewczyna musiała swemu narzeczonemu wyhaftować ślubną koszulę i to nie byle jak! Bo też ślubna koszula była nie tylko częścią stroju, ale przede wszystkim przedmiotem magicznym. Na zachowanych okazach zdumiewa tak ogrom włożonej pracy, jak i delikatność palców. Wnuczka tamtej dziewczyny w magię już nie wierzy a jej religijność bardzo różni się od babczynej.

Powróćmy znów do kapliczek, do jednego ze szczytowych wyrazów duchowej kultury naszego narodu. Tu dzieje się coś podobnego, jak z ową ślubną koszulą. Wnuk wstydzi się świątka, niezdarnie przez dziadka wyrzezanego. Porównawszy go z gipsową figurką Matki Boskiej z Lourdes, kupioną na targu w Rzeszowie, widzi go brzydkim i śmiesznym. Czy oburzać się na niego? — wątpić w jego religijność? Broń Boże! On dopiero liznął nieco cywilizacji, do kultury dojdzie dopiero



Matka Boża jako Królowa — rzeźba w kaplicy Glinik Charzewski. Fot. Kusy Antoni.

może jego wnuk i z kolei wyrzuci gipsową figurkę, chociaż przypuszczalnie też będzie religijny. Ale w międzyczasie jak my się mamy ustosunkować do starego świątka i nowiuteńkiej Matki Boski z Lourdes?

W czasie ostatniej wojny, przez sale Muzeum Miasta Rzeszowa przesunęło się trochę cudzoziemców, znawców i miłośników sztuki. Nawet koło wartościowych dzieł sztuki inteligenckiej przechodzili obojętnie — tyle ich w życiu widzieli... natomiast rozkrochmalali się w hali z zabytkami sztuki ludowej. Podziwy, zachwyty... brała ich ta prymitywna bezpośredniość — wreszcie westchnienie żalu, że u nich na zachodzie, od lat już nie ma sztuki ludowej. A jeśli coś jeszcze jest, to przemysł ludowy. Zazdroszczą jej nam, nie wiedząc, że nasza też zamiera. Ścigamy zachód zawzięcie i dopędzamy go. Ale — zdobywszy jedno, stracimy drugie. I trzeba się z tym pogodzić, że sztuka ludowa z czasów naszych dziadków nie utrzyma się i mimo największych wysiłków, nic jej nie zregeneruje. Ostatecznie można ją naśladować, ale to będzie przemysł, nie sztuka. Wszystko to nie mówi jednak, że tego co się dziś zachowało, nie należy za wszelką cenę chronić i ratować. Jako dokumenty naszej własnej kultury, legitymację naszej odrębności narodowej, a równocześnie źródła rzewnych wspomnień i szlachetnych natchnień.

W całokształcie sztuki ludowej rozróżnić można wiele działów. Powstały one zależnie od potrzeby. Między dziełami monumentalnymi, jakimi są drewniane kościoły a figlarnymi pisankami, są całe gamy. Wiele działów już zaginęło, inne giną. Ze świecą dziś szukać glinianych kropielniczek, jakie niedawno jeszcze wisiały przy drzwiach chat, nie znajdzie już świątków glinianych a przecież były.

Znaną jest powszechnie dola polskiego chłopa w okresie poddaństwa i pańszczyzny. Doczesne jego położenie było ciężkie i bez widoków zmiany. Zwłaszcza na Podkarpaciu, gdzie to i zagony tatarskie szalały i przeróżne bandy. Temu chłopu pozostawała często jedynie nadzieja na zmianę doli po śmierci, na lepsze czasy na drugim świecie. A więc... co w chłopie było twórczego, wyładowywało się właśnie w sztuce religijnej.

Patrząc na Chrystusa Frasobliwego, na „Świętą Turbacyją", czy nie widzi się ciężkiego, spracowanego chłopa pańszczyźnianego, który bez tchu usiadł na ławie, wsparł głowę na dłoni i duma o swoim twardym losie?.. Jakżeż często twarz Matki Boskiej jest jakimś symbolicznym portretem wieśniaczki polskiej, ze smętkiem patrzącej na beztroski, boży świat.

Kapliczki przydrożne bywają wyrazem ambicji czy nawet próżności człowieka. Wiadomo, że te czynniki odgrywają dużą rolę w stosunkach między ludźmi. Wynikiem tego jest, że kapliczki budowało się przeważnie koło dróg, koło swej chaty, aby przechodzący pozdrawiając je, poniekąd i fundatorowi składali hołd. Ileż to nazwisk spotyka się na cokołach figur, na belkach krzyżów... ile sentencji! — zbadawszy dzieje gruntu, na którym kapliczka stoi, można dojść kto ją fundował, do jakiej klasy fundator należał, jaką rolę we wsi odgrywał.

Poza wartością artystyczną, historyczną i społeczną, kapliczki i figury przydrożne są typowym dla polskiej wsi elementem krajobrazowym. Krajobraz ten zmienia się coraz bardziej. Niemal zupełnie wyginęły tak organicznie kiedyś z wsią związane drewniane kościoły, stojące wśród drzew prastarych. Znikają dwory, padają pod siekierą stare lipy czy dęby, ustępując miejsca rzędowym sadom, dachy wiejskie błyskają cynkową blachą i dachówką.

Mimo powstania i działania przeróżnych instytutów, towarzystw, oddziałów i wydziałów, zajmujących się sztuką ludową, stare najcenniejsze okazy, te pierwotne, bezpośrednie, niszczeją w tempie błyskawicznym. Wiele tego przyczyn. Jedną z nich, o czym już wspomniałem, że lud, jeśli nie wstydzi się swojej pierwotności, to przynajmniej jest wobec niej obojętny. Zwłaszcza, jeśli zabytek stoi na „cudzym" placu, zanikła tradycja i pamięć o fundatorach — wówczas nikt nie poczuwa się do obowiązku opiekowania się nim. Gniją tedy gontowe dachy, wypadają drzwi, ktoś wybija okna... Bywa, że zabytek staje się zawadą przy stawianiu domu czy innej budowy. Wówczas zachodzą nawet wypadki świadomego dewastowania.

To jeszcze nie wszystko. Rzesze pseudomiłośników i znawców sztuki ludowej wykradają z kaplic świątki, które ze swą oprawą i miejscem rodzinnym tak organicznie są złączone.

I wreszcie: ileż to corocznie ręka wnuka czy prawnuka bez skrupułów wyrzuca z kapliczki „bożków" i zastępuje je gipsowymi figurkami lub oleodrukami, kupionymi na



Glinik Charzewski — Kapliczka przy drodze Rzeszów — Jasło z pocz. XIX w. (dach zupełnie zgniły). Fot. Kusy Antoni.

jarmarku czy odpuście. A „bożków" pali się aby się nie poniewierały.

Muzeum regionalnym w terenie należy oddać „sztukę przydrożną" pod opiekę i wyposażyć je w środki do wykonywania tej opieki.

KOMUNIKAT
DYREKCJI KIN OBJAZDOWYCH

W czasie tegorocznego Miesiąca Odbudowy Warszawy we wrześniu r. b. zostanie uruchomionych na terenie Rzeczypospolitej Polskiej 70 Kin Objazdowych Filmu Polskiego.

Kina Objazdowe wyświetlą filmy poświęcone zagadnieniu Odbudowy Warszawy.

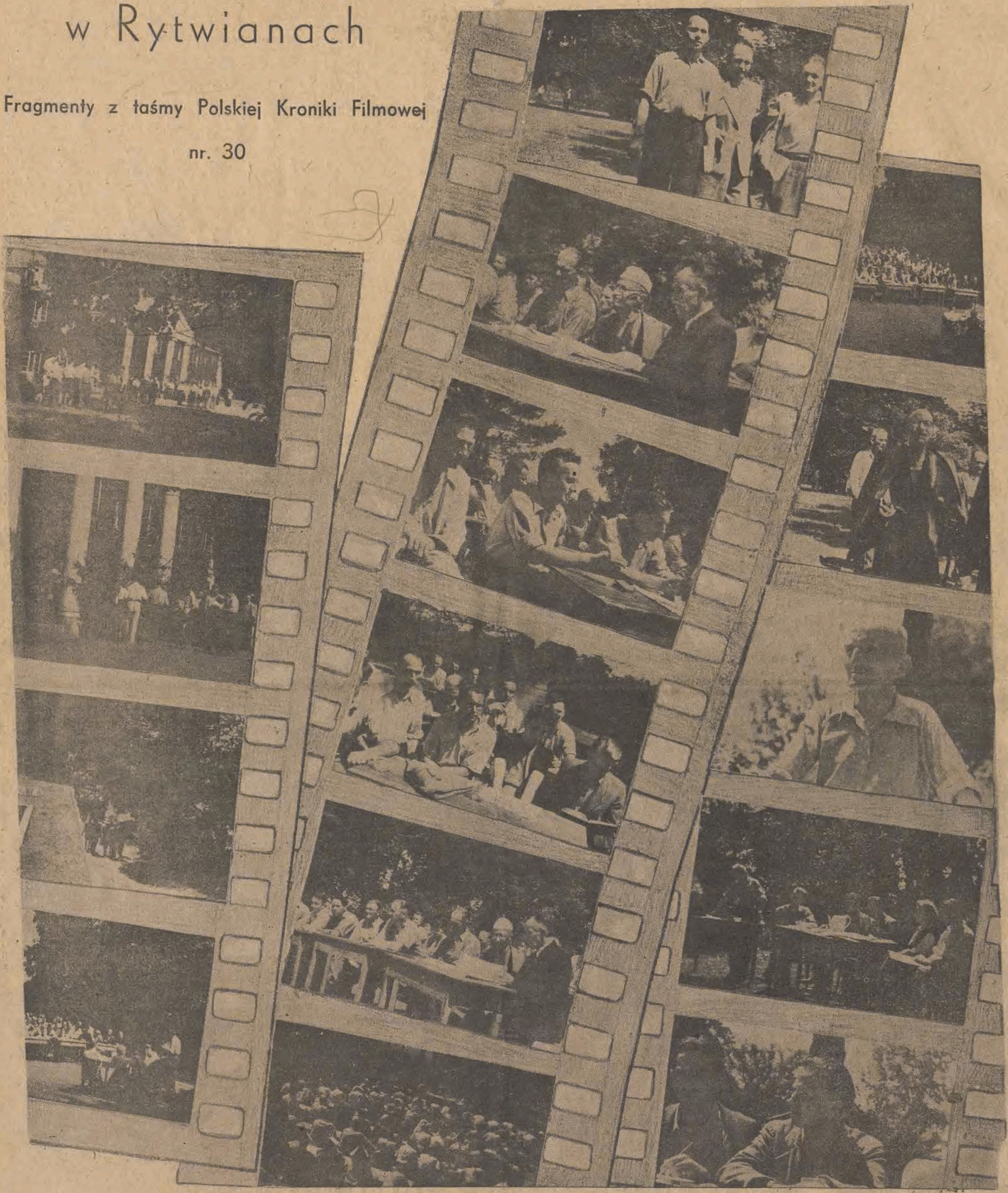
W ciągu miesiąca września Kina Objazdowe zgodnie z opracowanym planem odwiedzą 1.275 wsi, miasteczek i osad robotniczych, pozbawionych ośrodków kulturalnych.

Kina Objazdowe Filmu Polskiego dadzą 2.924 seanse przy możliwej frekwencji ponad 600 tysięcy widzów.

Powiatowe władze gminy proszone są o okazanie Kinom Objazdowym pomocy na miejscu w zrealizowaniu imprezy.

Film ze Zjazdu pisarzy tygodnika „Wieś" w Rytwianach

Fragmenty z taśmy Polskiej Kroniki Filmowej nr. 30



OBJAŚNIENIENIE:

1. Pałac radziwiłłowski, dziś Ośrodek Rolny Związku Samopomocy Chłopskiej w Rytwianach. Pisarze przed pałacem.

2. Przedzjazdowe rozmowy.

3. Park rytwiański,

4. Obrady w parku.

5. Stanisław Piętak, Zygmunt Sierp, Stanisław Nędza-Kubiniec.

6. Seniorzy pisarstwa ludowego: Józef Kapuściński, Piotr Stopczyk, Piotr Wyrobek.

7. Henryk Biłka, Wincenty Burek, A. F. Kirło-Nowaczyk.

8. Stanisław Witowski, Czesław Schabowski, Józef Pogan,

9. Józef A. Frasik, Stanisław Piętak, Stanisław Nędza-Kubiniec, Zygmunt Sierp, Józef Kapuściński, Piotr Stopczyk, Piotr Wyrobek,

10, 11. Obrady w parku.

12. Piotr Stopczyk. W głębi: Seweryn Skulski i Adolf Kotarba.

13. Maciej Czuła przemawia.

14. Prezydium Zjazdu przy stole: Wiesław Jażdżyński, Leonard Sobierajski, Jan A. Król. Anna Kamieńska, Tadeusz Papier.

15. Leonard Sobierajski, Jan A. Król.

Redaktor naczelny Jan Aleksander Król
Redaguje Komitet
Adres redakcji i administracji Łódź, Piotrkowska 133, tel. 100-98
Redakcja rękopisów nie zwraca.
Wydawca: Zarząd Główny Zw. Samopom. Chłopskiej.

Drukarnia Nr. 4 Sp. Wyd. „Czytelnik" — Łódź, ul. Żwirki 2 — 017811.